NOWOŚCI ILLUSTROWANE

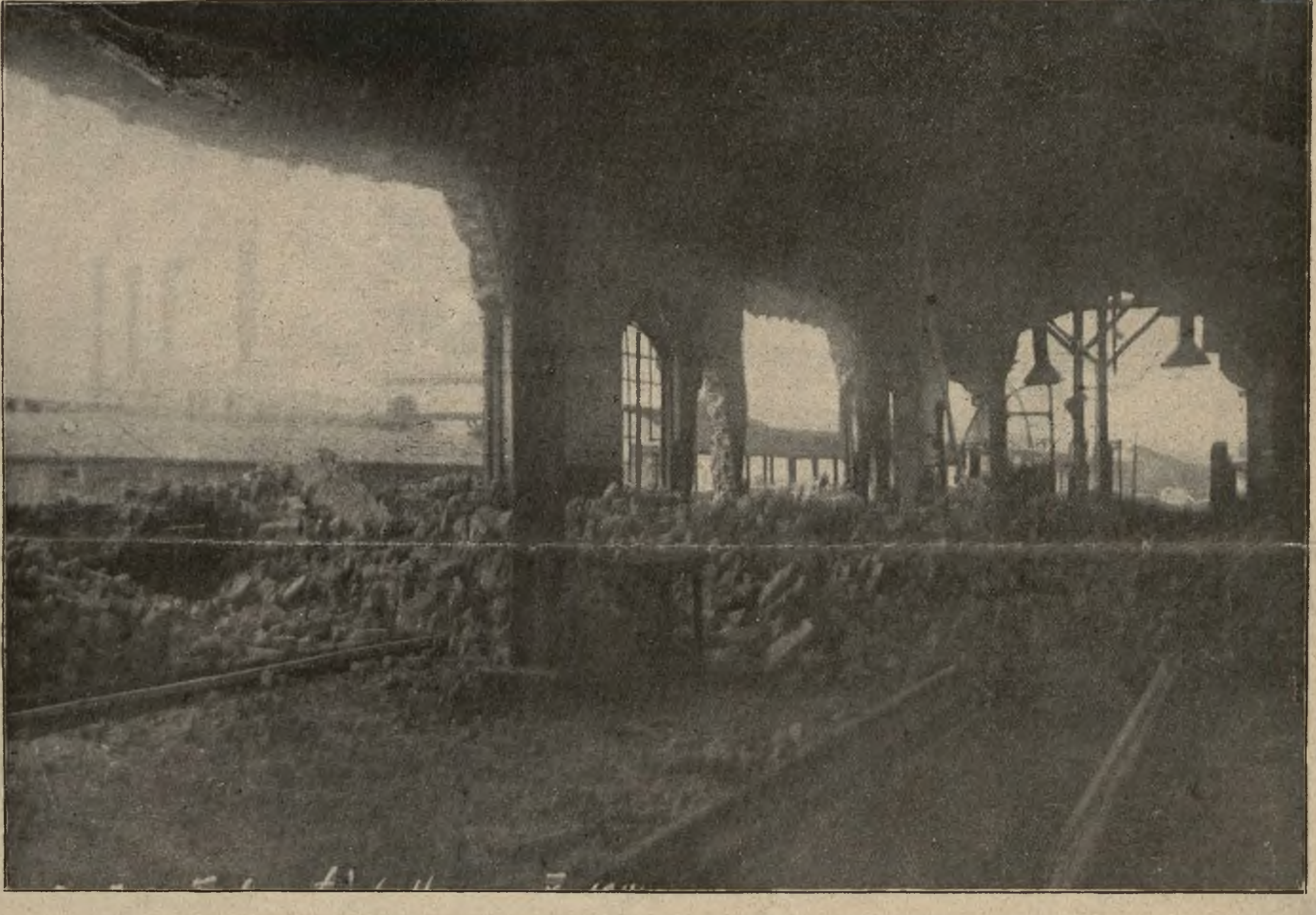
Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.**
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.
Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**
Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. Kraków, 27 lutego 1915. Nr. 9.

Ze zbombardowanej Łodzi.



Zniszczona remiza kolei Fabrycznej w Łodzi.

Ze zbombardowanej Łodzi.

Garść wrażeń z podróży po Królestwie przez **Ludwika Szczepańskiego.**

Łódź, to „złe miasto“, jak je nazwał Bartkiewicz, miasto fabrykantów, mało albo całkiem nie związanych z krajem i narodem, niemieckich businessmanów i semickich geszeftmacherów, aferzystów i spekulantów, marzących o „ziemi obiecanej“, dorobkiewiczów i kantorzystów, Lodzermenschów i nieprzejrzanej rzeszy robotniczej — jest dzisiaj przedewszystkiem biednem, bardzo biednem miastem.

Nim zaproszę Czytelnika do uczestnictwa w wędrówce po ulicach miasta i jego okolicach, abyśmy przyjrzeli się śladom październikowego i listopadowego zniszczenia, nie od rzeczy będzie skreślić tu pokrótce wojenne przejścia Łodzi w miesiącach od sierpnia do grudnia. Wówczas dopiero nabędziemy jasnego pojęcia o niedoli łódzkiej.

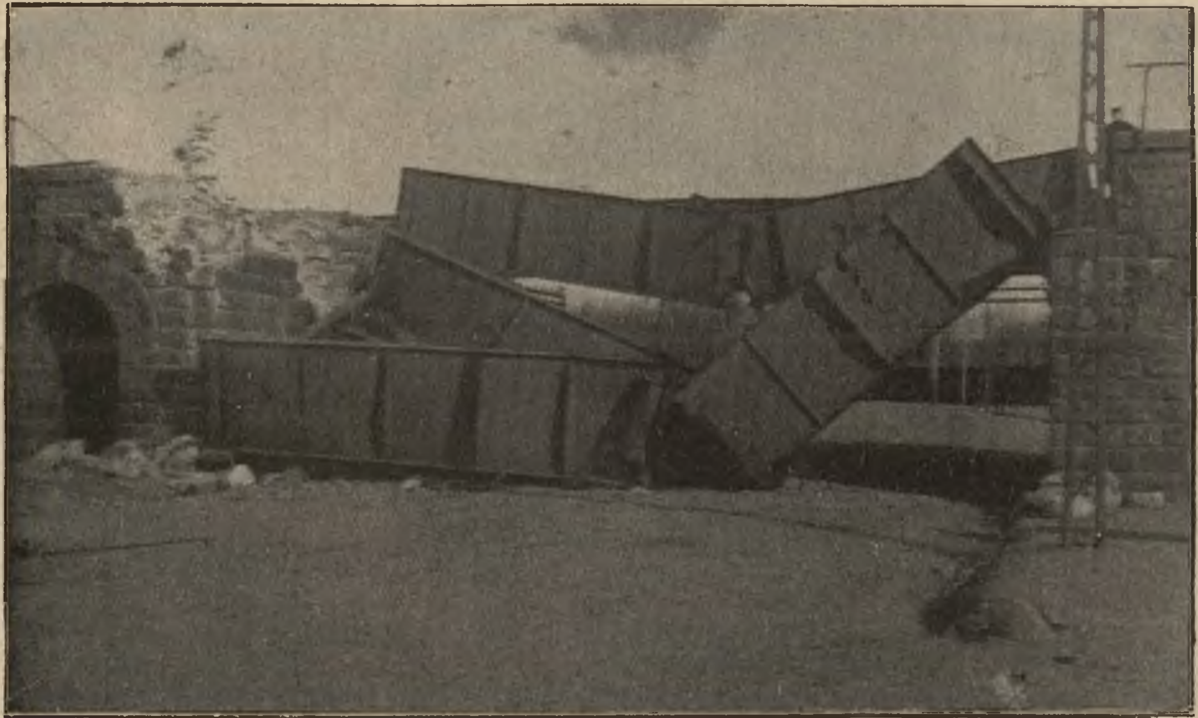
Zaraz po wybuchu wojny Łódź poczęła się przygotowywać do przyjęcia ciosów, jakie z powodu względnej blizkości granicy na nią rychło spaść mogły. Władze rosyjskie w połowie sierpnia opuściły miasto; pieczę nad miastem objął Komitet Obywatelski, na którego czele stanął znany przemysłowiec polski, dr. Grohman. Fabryki po wyczerpaniu zapasów węgla — zagłębie węglowe w pierwszych dniach sierpnia zajęły wojska niemieckie. zadając śmiertelny cios przemysłowi w Królestwie Polskiem! — zawiesiły pracę! Pierwszą troską komitetu było nakarmienie rzeszy głodnych robotników; komitet zużył na to fundusze miejskie w kwocie 200.000 rubli, a następnie wystarał się o pożyczkę w Piotrogrodzie w kwocie dwu milionów rubli, ale zrealizowaniu tej pożyczki przeszkodziły wypadki wojenne.

Niemcy weszli w sierpniu pierwszy raz do Łodzi, opróżnionej przez Rosyan, nie okupowali jej jednak. Przez miasto przejechał tylko patrol niemiecki, zjadł śniadanie — i skierował się na zachód, skąd przybył. Niebawem powróciły do Łodzi władze rosyjskie. Dopiero w toku ogólnej ofenzywy na Warszawę i Dęblin, wojsko niemieckie wkroczyło ponownie do Łodzi w dniu 7 października i przebywało w niej przez trzy tygodnie aż do 29 października.

Razem z Niemcami wszedł także oddział Legionistów i „z rozkazu komendy wojsk polskich“ rozlepiono w dniu 13 października plakaty, ogłaszające werbunek rekrutów. Odezwa mieściła zdanie:

„Dzisiaj carskie obietnice nie są dla nas żadną gwarancyą. Naszą gwarancyą wolności jest własny nasz oręż“.

Po zakończonych zwycięstwem rosyjskiem uporczywych walkach październikowych na drogach od Warszawy i Dęblina, wojska niemieckie podjęły odwrót ku granicy, niszcząc po drodze jak najgruntowniej wszystkie szosy, koleje żelazne, urządzenia stacyjne i mosty, aby utrudnić i opóźnić ofenzywny pochód armii rosyjskiej, tego „walca parowego“, który miał potoczyć się ku Śląskowi i Poznańskiemu — ale został wstrzymany nad Wartą.



Ze zbombardowanej Łodzi: Most kaliskiej kolei obwodowej w Łodzi, wysadzony w październiku.

Także w Łodzi koleje, mosty, wiadukty i gościńce doszczętnemu uległy zniszczeniu, którego niektóre szczegóły upamiętniają według fotografii nasze illustracye.

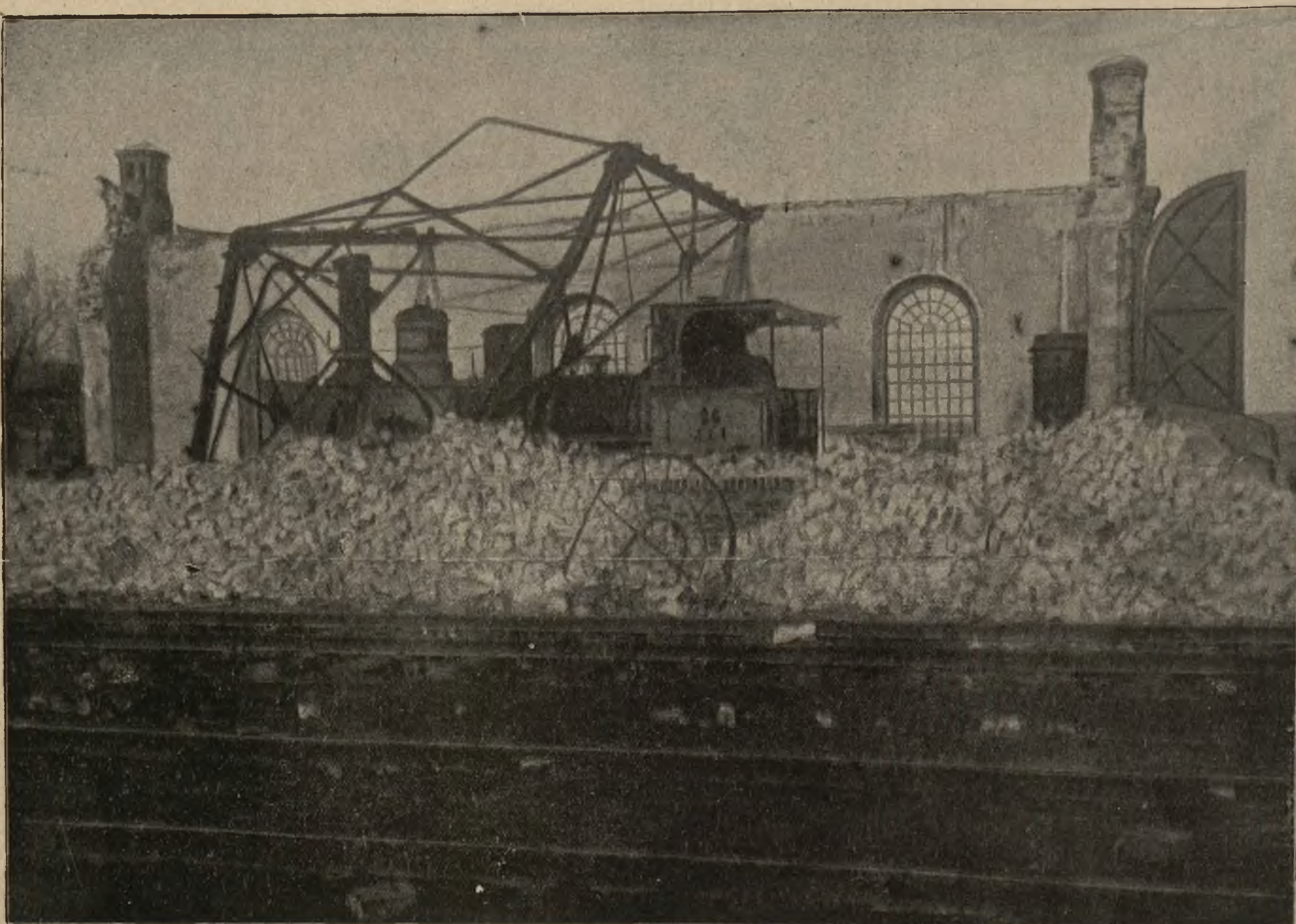
Dynamitem i ogniem zniszczono remizę parowozów i warsztaty dworca kolei kaliskiej, zdemolowano zwrotnice, spustoszono dworzec; szyny wysadzono w spojeniach. Podobnie smutny widok przedstawia kolej fabryczno-łódzka. Tutaj widzimy osobliwe zniszczenie wieży wodnej. Wybuch rozciął ją na cztery części, z których trzy runęły, zaś czwarta sterczy jak komin ku górze, cała popękana i grożąca każdej chwili zawaleniem.

* * *

Niemcy wyszli z Łodzi 29 października; natychmiast po ich odejściu wkroczyły wojska rosyjskie. W połowie listopada rozpoczęli Rosyanie na całej linii swą szeroko założoną ofenzywę, ale równocześnie niemiecka i austryacka armia gotowała się do zadania walnego ciosu. Ofenzywę rosyjską w Królestwie Polskiem ubiegł atak Niemców. W dniach 13 i 14 listopada korpus rosyjski pobity został pod Włocławkiem, w dniu 17 listopada Niemcy zdobyli ważny punkt węzłowy Zgierz.

Łódź znalazła się w centrum wielkiej bitwy, staczanej od 18 listopada do 6 grudnia.

Dookoła Łodzi, na północy pod Brzezinami, na



Ze zbombardowanej Łodzi: Zniszczona dynamitem remiza parowozów na stacyi kolei obwodowej Widzew.

południu pod Laskami, na wschodzie pod Koluszkami — Tuszynem, na zachodzie pod Szadkiem szalały zacięte walki. Huk strzałów armatnich rozbrzmiewał ze wszystkich stron i potęgował się coraz groźniej, zbliżał się coraz bardziej. Wieczorami krwawe łuny czerwieniły strop niebios.

Mieszkańcy miasta z trwogą i rozpaczą spozierali na ciemne kłęby dymu, wzbijające się dokoła, na złowrogą purpurę nocnych pożarów...

Dnia 20 listopada w południe spadły na miasto pierwsze bomby z aeroplanów niemieckich których cztery unosiły się w różnych punktach. Jedna bomba spadła na zabudowanie fabryki K. Hofrichtera przy ul. Piotrkowskiej l. 204, wzniecając pożar; druga



Zgon arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego: S. p. ks. arcybiskup Edward Likowski

bomba zrujnowała mały budynek parterowy przy ul. Piotrkowskiej l. 214, w którym mieścił się — pusty na szczęście — kantor fabryki Tow. Akc. Wojdysławskiego (patrz illustracyę na stronie 13), trzecia bomba upadła na podwórze domu przy ul. Orlej l. 5, uderzając w ścianę oficyny. Skutki wybuchu były straszne. Ściana na szerokości sześciu metrów zawaliła się wraz z podłogą, przywalając gruzami mieszkanie w suterenie, zajmowane przez kobietę z dwojgiem dzieci, które wyciągnięto z pod rumowiska pokaleczone. (Patrz illustracyę na stronie 7.)



Ze zbombardowanej Łodzi: Most kolei obwodowej w Łodzi nad szosą, prowadzącą do Koluszek, wysadzony w październiku 1914 r.

Od dnia 22 listopada zaczęły padać na miasto granaty i szrapnele niemieckie a przerażona ludność kryła się w piwnicach, skoro tylko bombardowanie się zaczynało. Miasto było pełne taborów wojska, obozujących na placach, a ulicami przeciągały niezliczone transporty rannych. Szpitale były przepełnione; panie łódzkie nosiły rannym pożywienie; służba sanitarna nie mogła podołać pracy, panował rozpaczliwy chaos...

W poniedziałek dnia 30 listopada nad ranem bombardowanie miasta doszło do punktu kulminacyjnego; bitwa toczyła się o 3—6 kilometrów od Łodzi; grad pocisków armatnich padał na miasto, uszkadzając wiele domów i powodując pożary. Liczne były też ofiary w rannych i zabitych. Granat, który padł na dom Kestenberga przy ul. Wschodniej, zabił jedenaście osób. Najwięcej od granatów ucierpiały: ulica Widzewska, Aleksandrowska, Brzezińska i przedmieścia Radogoszcz i Bałuty; ogółem kilkaset domów mniej lub więcej zostało uszkodzonych. Aeroplan niemiecki codzień regularnie w południe unosił się nad miastem i rzucał bomby. Oprócz grzmotu dział trzask karabinów maszynowych słychać było wyraźnie w śródmieściu.

W nocy z 30 listopada na 1 grudnia walka zbliżyła się pod samo miasto; na końcu ul. Piotrkowskiej powstały barykady.

W dniu 1 grudnia wieczorem granaty padły na Nowy Rynek przed magistrat i kamienicę pod l. 2 p. Odechowskiej. Wszystkie szyby w kamienicy strzaskały się w proch i pył.

Cały Rynek zajęty był przez tren i kuchnie polowe. Gdy granat padł, zabijając przed bramą domu l. 2 woźnego magistratu i dwu żołnierzy i raniąc kilka osób, między innemi przechodzącą kobietę i radcę magistratu, na całym placu podniosły się krzyki przerażenia i jęki, oraz kwik skaleczonych koni — a cały tabor w przeciągu kwadransa wyniósł się z zagrożonego miejsca. Jeszcze nazajutrz można było na Rynku widzieć nieuprzątnięte szczątki rozszarpanych ciał, krwawe strzępy szynelów i zwłoki końskie...

Niezwykle tragiczny wypadek zdarzył się w parterowem mieszkaniu pewnego ajenta Tow. Ubezpieczeń, Hertzberga. Mieszkanie to, położone od podwórza, wydawało się właścicielom zupełnie bezpiecznem. Do pokoju weszła sługa, przynosząc kolacyę; usłyszawszy kwilenie dziecka, pani Hertzbergowa wyszła



Ze zbombardowanej Łodzi: Zniszczony most na ulicy Obywatelskiej w Łodzi.



Ze zbombardowanej Łodzi: Most na ulicy Konstantynowskiej w Łodzi, wysadzony dynamitem z końcem października.

do sąsiedniego pokoju: w tej chwili wpadł do pokoju szrapnel, przebiwszy mur i podłogę na pierwszem piętrze i eksplodował, rozrywając w kawałki Hertzberga i służącą. Żona i dziecko ocalały. (Patrz illustracyę na stronie 7.)

W domu przy ul. Aleksandrowskiej (patrz illustracyę na stronie 13), wybuchł pożar skutkiem eksplozyi granatu. Właściciel kamienicy przechowywał w mieszkaniu siedm tysięcy rubli — i obiecał znajomemu dorożkarzowi połowę tej sumy, jeśli mu pieniądze uratuje. Dorożkarz rzucił się w dymiącą czeluść, ale nie zdołał wynieść pieniędzy, natomiast tak ciężkich doznał oparzeń, że trzeciego dnia wyzionął ducha.

Gwizd granatów, chichot szrapneli, przelatujących nad domami, przerażał ludność, szarpał jej nerwami. Do jakiego stopnia niektórzy ludzie, zwłaszcza prości, ulegali wrażeniu zgrozy, niech świadczy o tem fakt, że służący, mężczyzna trzydziestoletni, rozbeczał się jak dziecko, słysząc wycie przelatującego pocisku.

— To dyabli śmieją się! — mówił, chowając się w kąt.

Krwawe walki nie ustawały, ale już 1 grudnia Rosyanie przekonali się, że nie wytrzymają naporu wojsk niemieckich — i poczęli ewakuować Łódź, której ulice, zasypane tu i ówdzie szkłem i gruzem zrujnowanych domów przedstawiały smutny widok. Dnia 5 grudnia wieczorem wojska rosyjskie ostatecznie opuściły Łódź.

Ale jeszcze nazajutrz zrana Niemcy bombardowali miasto, dopiero, gdy proboszcz kościoła N. P. M. na Starem Mieście kazał wywiesić białą chorągiew na strzelistej gotyckiej wieży, ustało ostrzeliwanie — a Komitet Obywatelski udał się do sztabu niemieckiego w Zgierzu celem omówienia warunków oddania miasta.

Wojska niemieckie w dniu 6 grudnia po raz trzeci z rzędu wkroczyły do Łodzi.

Maszerując przez ul. Piotrkowską, bataliony niemieckie, upojone zwycięstwem, śpiewały:

Hurra, hurra, hurra,
Wir sind schon wieder da!
Wir kommen nicht als Gäste,
Wir bleiben da schon feste!

I pozostały po dziś dzień. Rządy w mieście objął jako gubernator wojskowy generałmajor von Gerecke, gubernatorem cywilnym jest tajny radca von Brandenstein.

(W przyszłym numerze zamieścimy illustracye i artykuł p. t. **„Z pobojowisk pod Łodzią"**, a w dalszym **„Kalisz w gruzach"**).

Zgon arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego

W krwawej, przełomowej chwili, gdy cała Polska objęta pożogą wojny oczekuje z niepokojem rozstrzygnięcia swych losów, osierocona znowu została stolica św. Wojciecha. W Poznaniu zmarł następca Duninów, Ledóchowskich i Stablewskich, ksiądz arcybiskup Edward Likowski, a u trumny zgasłego Arcypasterza jednoczy się cały naród polski, składając hołd długiej i owocnej pracy, dokonywanej w najcięższych warunkach.

Ksiądz arcybiskup Likowski urodził się dnia 26 września 1836 roku we Wrześni, gdzie pobierał nauki początkowe. Po ukończeniu gimnazyum w Poznaniu, odbywał studya filozoficzne i teologiczne w Akademii Monasterskiej w Westfalii.

Po wyświęceniu na kapłana w końcu roku 1861 sprawował przez dziesięć miesięcy funkcye wikaryusza w Kcyni, a następnie przez kilka lat urząd nauczyciela religii i języka hebrejskiego w gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu. Z początkiem 1886 roku powołany został na profesora historyi kościelnej i prawa kościelnego w Seminaryum duchownem w Poznaniu, a po objęciu rządów dyecezyi przez ks. Ledóchowskiego został mianowany regensem.

Gdy kardynał Ledóchowski zrzegnował z arcybiskupstwa w roku 1886, a stolicę arcybiskupią zajął ksiądz Juliusz Dinder, powołał tenże księdza Likowskiego na kanonika katedralnego poznańskiego i Oficyała dyecezyi poznańskiej. Na tem trudnem stanowisku pozostał do końca życia arcybiskupa Dindera, po śmierci którego wybrała go kapituła metrop. administratorem dyecezyi. Był nim przez siedm kwartałów, aż do nominacyi arcybiskupa Stablewskiego. Przez cały czas jego rządów, t. j. aż do 24 listopada 1906 roku, był znowu oficyałem i wikaryuszem generalnym, a przez ostatnie dziewięć lat życia arcybiskupa Stablewskiego, wskutek jego choroby — większa część ciężaru rządów na nim spoczywała.

Od zgonu poprzednika swego, arcybiskupa Stablewskiego, zmarłego w listopadzie 1906 roku, ś. p. arcybiskup Likowski po raz wtóry sprawował administracyę archidyecezyi i dopiero po wybuchu wojny rząd pruski zgodził się na wybór jego na arcybiskupa gnieźnieńsko poznańskiego.

Zmarły arcybiskup odznaczał się wielką surowością obyczajów, nadzwyczajną sumiennością w wypełnianiu obowiązków, olbrzymią pracowitością i głęboką czcią dla nauki. Pozostawił też w swym dorobku literackim szereg znakomitych dzieł z zakresu historyi Kościoła. Zasługi Jego na tem polu uczciła Krakowska Akademia Umiejętności, która mianowała ś. p. księdza arcybiskupa Likowskiego swym członkiem czynnym.

Cześć Jego pamięci!



Ze zbombardowanej Łodzi: Wysadzona dynamitem wieża wodna na dworcu kolei kaliskiej w Łodzi.

JÓZEF LASOŃ.

Dwunasty.

(Ze wspomnień Legionisty).

1

V.

Spojrzał na jasne główki dzieci, łzy stanęły mu w oczach, ból sercem wstrząsnął. Ale zacisnął zęby, zgniótł wszelkie uczucia w sobie. Chora żona przebudziła się, smętnym wzrokiem popatrzyła się na męża. Dziwiło ją to, że tak rano wstał, tembardziej, że zwykle lubiał przeciągać się w łóżku. Popatrzyła na zegar. W pół do piątej dochodziło. Urzędowanie męża rozpoczynało się dopiero o ósmej godzinie, więc przeszło trzy i pół godziny jest czasu — rozmyślała — pewnie chce się przejść po parku, chory na piersi jest, świeże powietrze ranne dobrze działa.

— Czemużeś tak wczas wstał? — spytała go, gdy, umywszy się, przed lustrem stanął, bujną czuprynę przygładzając.

— Spać mi się nie chce!

— Tak!?

— Tak!

— Idziesz gdzie? — spytała po chwili.

Nie odpowiedział nic. Ukradkiem spojrzał na nią, czy nie patrzy za nim, nie śledzi go wzrokiem. Ale chora przymknęła oczy, zdawała się zasypiać. Promienie jasne wschodzącego słońca wpadły do izby, oświetliły pokój, ozłociły główki dzieciąt, wystające z pod pierzynki.

Na jednem, dużem łóżku spało ich czworo. Najstarszy, dziewięcioletni Bronek, z trzema siostrzyczkami, a z matką spała ośmioletnia Mania i najmłodszy synek. Przez długą chwilę wpatrywał się w główki dzieciąt swoich, jakby chciał obraz ich wyryć sobie w duszy, wiecznie zapamiętać.

Popatrzył na zegarek. Piąta dochodziła. Pocichu, by nie obudzić śpiących, otworzył szafę, wydobył z niej ubranie strzeleckie, czapkę i buty. Zebrał się powoli, poczem pakować począł plecak. Wydobył z komody bieliznę, zakupiony w poprzedni wieczór prowiant wpakował razem z bielizną do plecaka, poczem rozglądać się począł po mieszkaniu, coby na drogę wziąć.

Żal ściskał mu serce, od czasu do czasu sumienie wyrzucać mu poczęło, że tyle drobnych dzieci opuszcza i chorą żonę, ale, gdy wspomniał o zadaniu, jakie spoczywa na nim... na Polaku, przygłuszył go, niszczył gorącą miłością Ojczyzny.

Chora przebudziła się powtórnie. Spojrzała na męża, nerwowo podźwignęła się, usiadła na łóżku, a widząc go w mundurze, z przygotowanym plecakiem do drogi, rzekła:

— Franek, bój się Boga! Gdzie ty idziesz? — jęknęła z rozpaczą.

— Nigdzie!

— Jakto nigdzie, ubranyś w mundur, plecak przygotowany do drogi.

— Nigdzie nie idę! — odparł, zwracając się twarzą do okna.

— Nie idziesz? Kłamiesz! Ty myślisz, że ja nie wiem, dlatego, że leżę chora, co się na świecie dzieje. Pewnie ze strzelcami chcesz iść, bo dziś kompania podgórska ma wyruszyć!

— Któż ci to nagadał?

— Kto? Była tu jedna, mówiła mi, że jej syn dziś idzie. Pewnie i ty idziesz?

Zakręciły mu się łzy w oczach, nieruchomo stanął przy oknie, nie śmiejąc twarzy zwrócić w stronę żony. Kobieta westchnęła głęboko parę razy, po chwili znów poczęła zawodzić:

— Tyle drobnych dzieci chcesz zostawić. Żebym jeszcze ja zdrowa była, to byłoby jeszcze jako tako. Z łóżka zejść nie mogę, co pocznę z temi dziećmi. No! Franuś! Franuś! Ty nie pójdziesz! Prawda? No, Franuś, popatrz mi w oczy!

Cisnące się łzy na oczach wstrzymał, podbiegł raptownie do żony, objął ją ramieniem, a tuląc do piersi, pocieszał:

— Cicho bądź, cicho! Bóg cię nie opuści, On dzieci nie opuści!

— Ale ty mnie chcesz opuścić!

— Póki żyw będę, nigdy cię nie opuszczę. Nigdy o tobie nie zapomnę!

Uspokoił żonę, łagodnemi słowy usposobił do rozweselenia twarzy. Na ustach chorej pojawił się dawno niebywały gość... uśmiech.

— A gdzie idziesz, powiedz mi prawdę — nalegała — powiedz!

— Na ćwiczenia!

— Na jakie ćwiczenia?

— No, bo widzisz, część strzelców nowozaciężnych trzeba ćwiczyć.

— Prawda, że pójdziecie do walki?

— Tak, część pójdzie.

— A ty pójdziesz?

— Ja... ja... tylko na ćwiczenia — kłamiąc poczerwieniał.

— Na ćwiczenia?

— Tak! Idę teraz na dwudniowe ćwiczenia! Wiesz, takie, jakie w kwietniu były pod Liszkami. Nie bój się nic. Na wojnę nie idę, na ćwiczenia tylko — uspokajał ją.

— Pamiętaj, Franuś! Miej wzgląd, choćby nie na mnie, to przynajmniej na te dzieci! Co ja sama pocznę z niemi?

— Bo widzisz...

— Co chciałeś powiedzieć?

— Choćby mnie nie było parę dni, nie martw się nic, bo ćwiczenia mogą się przeciągnąć, więc chciałem cię na to przygotować.

— Pamiętajże o swojem zdrowiu! Dopiero się wyleczyłeś z zapalenia płuc, uważajże na siebie, bo jeszcze nie zupełnie wyleczony jesteś.

— Będę! Będę uważał!

— Masz co do jedzenia na drogę?

— Mam, kupiłem wczoraj.

— Może mało masz? Tam w komodzie mam trochę pieniędzy uciułanych. Weź sobie, wiele potrzebujesz!

— Pieniądze zachowaj! Ja tam pieniędzy nie potrzebuję. Mówiłem z dyrektorem kasy, pensyę na pierwszego, gdyby mnie nie było, tobie wypłacą. Zgłosisz się do kasy, to ci kwit dadzą.

— Może już będziesz z powrotem?

— Może!

Przebudzony synek zerwał się z łóżka, w koszulinie podbiegł do ojca, uwiesił się ręki ojcowskiej.

— Tatusiu! Gdzie tatuś idzie? Na Moskala? Tatusiu, a zdobądź mi tatuś sabelkę i konika i strzelbę! Tatusiu! Ja pójdę z tatusiem!

— Dobrze, Bronciu! Dobrze!

— Przyniesie tatuś konika?

— Przyniesie!

— A sabelkę?

— Przyniesie!

— A strzelbę?

— Przyniesie, przyniesie! I Moskala małego ci tatuś przyniesie! Będziesz się bawił konikiem!

— A tatuś na Moskala idzie, prawda? — dopytywał się ciekawie.

— Idź do łóżka, Bronciu — upominał syna — zaziębisz się. Zimna podłoga, kaszleć będziesz.

— Tatusiu! Kiedy ja chcę iść z tobą!

— Kiedy ja nigdzie nie idę!

— Ale idziesz, tatusiu, na Moskala, bo mama płacze. A ja bym też szedł, żeby mama nie płakała. Taki masz ładny mundur, tatusiu, kupisz mi taki, bo ja chcę iść z tobą.

Podniósł syna do góry, uściskał serdecznie, ucałował. Zaświeciła mu się w oku łza... serdeczna łza, co z serca spływa, przepiękna łza, jak dyament czysta.

Pobudziły się dzieci, ojca dokoła otoczyły, dziwiąc się, że taki ładny mundurek ma, pytając się ciekawie, gdzie idzie, i prosząc, by je zabrał ze sobą, bo słonko tak ładnie świeci.

Poobmywał im twarzyczki, poubierał w sukienki, i zabrał się do gotowania śniadania.

Kobieta wodziła za nim oczyma, na chwilę nawet nie spuszczając ich z męża. Pomimo wszystkich przyrzeczeń, ustawicznie jej się zdawało, że kłamał przed nią, że on przecież na wojnę ze strzelcami idzie.

Z trwogą myślała o chwili, kiedy przyjdzie się z nim pożegnać, a to już tak blisko... może za chwil parę.

Koło godziny siódmej przysunął się do łóżka żony, szeptem do niej przemówił:

— Bądź zdrowa! Nie martw się nic. Niedługo wrócę!

— Franuś! Franuś! Nad dziećmi litość miej!

Rozpaliły mu się policzki, usta bezwiednie do żony wyszeptały, co serce czuło:

— Bądź zdrowa! Ojczyzna woła!

Szybko ucałował dzieci, zarzucił plecak na siebie i, wstrzymując na oczach łzy... wyszedł szybko... ostro... na miejsce przeznaczenia, ani za domem, ni za dziećmi, ni za żoną nie oglądnął się, bo bał się, by mu serce nie pękło!

. . . .

Kiedy staliśmy w szeregu i ruszyć już musieli, pilnie baczyliśmy, czy kogo nie brakuje.

A kilku było brak... Nie wszyscy mogli iść. Już sądziliśmy, że i on nie przyjdzie, gdyż chorą ma żonę i dzieci sześcioro, gdy nagle ktoś szereg nasz złamał i wpadł do środka.

I jako brata, dawno niewidzianego, szczerze ucałowaliśmy.

— Idziesz i ty?

— Idę! Bom Polak!

— Cóż żona?

— Cóż? Skłamać było trzeba! Da Bóg, to wrócę! Da Bóg — to chwalebny zgon!

. . . .

Było to pod Nowym Korczynem.

Okopały się nasze kompanie w rowach, ostrożnie poczęły się wysuwać głowy naszych żołnierzy z okopów, szukając celu. Kilka już godzin trwała walka. Pod lasem rozłożyło się cztery bataliony Moskali, ziejąc nieustannym ogniem karabinowym. Nad głowami żołnierzy świst kul karabinów maszynowych, przeraźliwe wycie przelatujących granatów, piekielny huk pękających szrapneli. Pierwszą bitwę większą rozpoczął batalion czwarty. Pierwszy chrzest strasznego ognia dział i karabinów maszynowych.

W początkowych godzinach niejeden żołnierz polski legł, ale inni, nauczeni już, oswoili się z ogniem, chytrze się za okopy kryjąc, nieruchomo do ziemi przywarci, gdy świst granatu przedzierał powietrze.

Za wzgórzem usadowiła się artylerya rosyjska i pociski śle śmiertelne. Ryją się granaty w ziemię, metrowe dziury wyrywając, groby dla żołnierzy kopiąc. Pękają z przeraźliwym hukiem nad głowami szrapnele, deszcz ołowianych kul i odłamków żelaza pada.

Bitwa straszna wre.

Chwilami przycicha, ustaje straszna muzyka. Tylko od czasu do czasu ten lub ów żołnierz wystrzeli — widząc posuwającego się nieprzyjaciela — lub zaterkocze karabin maszynowy.

Baczyć trzeba pilnie.

Bo chytry wróg uciszył swoje działa, gdyż na inną pozycyę chce je przenosić, na lewe skrzydło. A z za lasu wypełzły, jak jadowite żmije, masy szarego wroga i pełzną. Trzeba bacznie strzedz. To rezerwa z lasu wypełza, rozlewa się w długą linię, rozciąga, jak wąż i na lewe skrzydło pcha.

Lecz polski żołnierz dobrze wroga strzegł.

Zagrzmiały karabiny, wąż padł, przytulił się do ziemi. Gdzieniegdzie zachwiały się szeregi. Skierowali żołnierze polscy straszny ogień na węża-rezerwę, który im na skrzydło chciał zajść.

Przyciszona artylerya odezwała się znowu ponurem mruknięciem przy wyrzucaniu pocisków. Zaśmiały się karabiny maszynowe pu... pu... pu...

Usilną pracę podjęli żołnierze. Rozgrzały się lufy od strzałów, ramię zabolało, drżała już ręka, ale bezustannym ogniem trzeba zionąć, póki artylerya na pomoc nie przyjdzie i nie rozbije wroga w puch.

Już drugi raz amunicya dostarczona.

Prześlizgnęli się przez pole żołnierze trenu, przynieśli raz, przynieśli drugi. Zobaczyło ich chytre oko wroga; dalej na pole karabiny maszynowe, na tren armatnie kule granaty.

Cofnął się tren za linię strzałów. Macały go kule wroga, lecz trafić nie mogły. Tu i ówdzie granat padł ze świstem, z hukiem, zarył się w ziemię, wybuchnął w górę, wyrzucając ziemię w powietrze, wykopując głębokie doły.

— Groby żołnierzom kopie! — szeptali.

Za linią strzałów ukrył się tren. Komendant przez chwilę głęboko się zamyślił, potem krzyknął:

— Sierżant Durek!

— Rozkaz! — odparł wołany, podbiegając do komendanta.

— Po wiele ostatni raz rozdaliście naboi żołnierzom?

— Po ośmdziesiąt sztuk!

— Ośmdziesiąt sztuk. Przez dwie godziny mogą się utrzymać. Upłynęło już od tego czasu pięć kwadransów, trzeba będzie świeżą amunicyę im dać!

— Według rozkazu!

— Uważać tam na sygnał! Następnie musicie wziąć ludzi i we workach amunicyę przenieść. Wozem przejechać się nie da! Wymacali nasz tren i pilnie po polach strzegą! Będziecie mieli ciężką przeprawę, ale amunicyę trzeba im zawieźć!

— Według rozkazu!

Podszedł do wozów z amunicyą, do roboty z żołnierzami raźno się wziął. Sypano naboje w worki, sznurkiem przewiązano je silnie.

A tam w okopach walka wre... Zacięta walka.

Bezustannie strzela żołnierz polski, a cel dobry bierze, nie marni kul. Wąż-rezerwa, co wypełznąć z lasu chciał, cofnął się w las, za dużo łusek-żołnierzy stracił, za silny grad trafnych strzałów na niego spadł. A lewe skrzydło, jak silnie stało, tak stoi. Nie załamał go grad pocisków artyleryi, nie przestraszył straszny śmiech karabinów maszynowych.

Ale wróg chytry był.

Zaprzestał ognia z okopów działowych i karabinów maszynowych, a zato posłał świst zwyczaj-

nych kul do rowów żołnierzy polskich. A działa i karabiny maszynowe na tren obrócił, by odciąć dowóz amunicyi, następnie łatwiej zwycięstwo sobie zapewnić i ubezwładnić okopanych żołnierzy.

W okopie rozległ się szmer: „Naboi brak“! Więc dano sygnał do trenu, by naboi dać.

Zerwał się sierżant. Na ten sygnał czekał. Ośmiu żołnierzy za nim pobiegło, a każdy worek z nabojami wziął. Za zwisający sznurek pochwycili, wysunęli się za stojące wozy. Dźwigając worki z amunicyą, przebiegli przez drogę, do rozdeptanej i poszarpanej ziemi przywarli.

— Uważać — krzyknął sierżant — w obręb ognia działowego wchodzimy. Pełzać pojedynczo.

Przed nimi o kilkanaście metrów z wielkim świstem spadł granat. Zarył się w ziemię, huk rozdarł powietrze, snop odłamków żelaznych rozleciał się wokoło, wyrwana z łona ziemia obsypała pełzających żołnierzy.

Chwilę leżeli, nieruchomo przywarci do ziemi.

— Naprzód — zakomenderował sierżant — czołgając się pierwszy i ciągnąc za sobą worek z amunicyą. Armaty poczęły usilnie pracować.

Groźnie rycząc w powietrzu, padały pociski raz przed nimi, to znowu za nimi.

— Uważać! Chłopcy, uważać!

Dojrzała wiara z okopów, że treniarze z amunicyą spieszą, na wroga szybki ogień skierowała. Czują żołnierze, że pomoc trzeba dać, przez chwil parę piekielnym ogniem prażyć, aby amunicyę można było donieść.

Nie próżnował i wróg. Karabiny maszynowe skierował na pole, tam, gdzie, jak pędraki pomiędzy wyłomami ziemi kryjąc się, pełzali żołnierze z amunicyą. Jeszcze z pięćdziesiąt kroków... A tu... przed nimi... deszcz kul posypał się, jak w wyoraną ziemię garść pszenicy. Trzeba na ziemi leżeć bez ruchu, póki nie zaczną gdzieindziej siać w ziemię naboi.

Chwila... straszna chwila..., co wiekiem wydaje się i dla niejednego wiecznością jest... bo, gdy ugodzi zdradziecka stal, to już śmierć, to już żal w szeregu.

Pojedynczo pełzając, dotarli do okopów. Wsunęli się, jak koty, przywitani radośnie przez oczekujących żołnierzy.

Zadanie było spełnione.

Sierżant płaszczem otarł obłoconą twarz, uśmiechnął się do swoich żołnierzy i rzekł:

— Dobrze poszło! A teraz naboje rozdać! Wzdłuż linii rozwinąć się trzeba, by wszystkim naboje dać.

Roznieśli naboje żołnierzom, będącym w okopie i zabierali się do powrotu, by nowe ładunki przynieść.

Nadciągnęła i artylerya, usadowiła się i pozdrowiła wroga. To w lasek pocznie walić, kędy ukryła się nieprzyjacielska rezerwa, to w okopy wroga, to znów w przeciwniczkę swą, artyleryę rosyjską. Łamią się stare świerki, padają wiecznie zielone sosny, wypłoszony nieprzyjaciel wycofywać począł rezerwy z lasu.

Nagle umilkły rosyjskie armaty. Odkryci na pozycyi, musieli się cofnąć. Już celny strzał austryackich kanonierów rozbił im jedno działo, rozszarpał ludzi.

A tu, w polskich okopach, wre.

Widzą, jak nieprzyjaciel w zamieszanie wpada, do szturmu polski żołnierz chce iść. Ale wstrzymuje go komendant, wstrzymują polscy oficerowie.

A tych gorączka pali.

Padła komenda:

— Bagnet na broń!

Błyskawicznie nasadzają bagnety, silnie karabin ujmując w dłoń, bo to ostatek walki... zdobyć okopy bagnetem trzeba.

Lecz jeszcze czas!

Nagle z prawego skrzydła zagrzmiał okrzyk: Hurra! Hurra! Hurra! i rozpalony żołnierz polski na okop wroga wpadł, walcząc piersią o pierś, bagnetem drogę torując. Zerwała się za nimi reszta żołnierzy z okopu i na wroga śmiało uderzyła.

Niejeden jęknął boleśnie i padł, lecz ci, co żyli, do ostatniego tchu walczyli.

Hurra! Hurra! Hurra! Potężny okrzyk z piersi bije, łamią się szeregi wroga, do lasu cofają się. Artylerya ich żegna. Łamią się drzewa, gniotąc uciekających nieprzyjaciół. Polski żołnierz ich gna.

I tu, gdzie przed godziną straszna bitwa była, ucichło teraz. Od czasu do czasu padnie jeno strzał, ostatnie strzały za uciekającymi nieprzyjaciółmi. Umilkły armaty po ciężkiej pracy, ucichły karabiny maszynowe.

Teraz do roboty saniteci żwawo się biorą. Rannych moc i zabitych moc, opatrzyć jednych, pogrzebać drugich trzeba.

A po ciężkiej walce nie na spoczynek żołnierz teraz idzie... nie na spoczynek... chyba ci, co padli, bo czuwać trzeba, albo naprzód iść, jak rozkaz każe!

Przeszło kilka godzin.

Nieprzyjaciel w popłochu cofnął się, opuszczając okopy, zostawiając rannych i zabitych.

Ucichło zupełnie. Tylko na drodze pod lasem sformowały się bataliony, sprawdzono liczbę poległych. Lekarze rannych pospiesznie opatrują, bo niedługo wyruszyć trzeba będzie.

A tam, w okopach, dużo jeszcze pracy, dużo niepogrzebanych ciał. Przysiadły się do uczty kruki i wrony, przeraźliwie kracząc, żeru szukały, a było go dość.

Spędzone przez grzebiących ciała żołnierzy, uniosły się nad ziemią, gniewnie krącząc, że ucztę im przerwano. Lecz niedaleko odbiegły. Czuwać poczęły... może się znajdzie ktoś niepogrzebany, może się znajdzie ktoś płytko w ziemię schowany — a będą miały ucztę — bal. Dopadły pod lasem żer i walkę o niego poczęły. Walkę o żer!

Zadudniły na drodze kopyta końskie, zerwały się przestraszone.

Nad pobojowiskiem noc poczęła roztaczać się ciemnością, jakby żałobą chciała okryć ziemię!

Rozłożyły się kompanie po bitwie, wypoczynek krótki dostając. Rozpalono ogniska, kucharze szybko olbrzymie kotły na ogień stawili — herbatę gotują.

A patrząc z góry na te ogniki, rozpalone na pobojowisku, zda ci się, że to świętojańska noc, zda ci się, że to sobótki są na Zielone Święta.

Teraz ci pokażą kucharze, jak oni dzielnie będą wojować. Potężne działo-kocioł, czterdziesto kilka centymetrowe osadzili na ogień, napełnili wodą. W pośrodku stanął komendant kuchni i silnym głosem, jakby do szturmu trzy pułki wiódł, komenderuje:

— Plutonami na lewo! Gęsiego iść! Inaczej nie dostaniecie żryć!

Swawolne głosy odpowiadają:

— Uczciwieśmy robili! W szlachtuzie bym się więcej nie narobił!

— Nie dostanę żryć, nie będę się mógł bić!

— Komendancie, mało słodka herbata!

Krzepią się herbatą, choć ta nie bardzo słodka, ale ciepła. Rozkoszują się żołnierze, że po kilku dniach ciepłego coś dostali. Pomimo zmęczenia, wesołość w polskim żołnierzu wre.

Czy w boju, czy w marszu, czy głodny, czy chłodny szczęśliwy jest — bo za Ojczyznę walczy!

A idźcie wy tam, popatrzcie, jak tam w szeregu jest — a Wasze polskie serce radością zadrga.

Przy taborze ruch. Krzątają się żołnierze, przygotowania czynią do dalszej drogi. Sierżant Durek nieustannie goni, komenderuje, rozkazy sypie na prawo i lewo.

— Ta paczka z nabojami na pierwszy wóz! Chleb i cukier na szósty! W pierwszych wozach tylko amunicya.

Przybiega ordynans pułkownika, przynosi rozkaz. Komendant uważnie czyta go, woła następnie sierżanta:

— Sierżant!

— Rozkaz!

— Rozkazem pułkowym jesteście przeniesieni do V. batalionu, jako sierżant trenu. Zaraz macie objąć obowiązki, gdyż obecny sierżant jest ranny. Pojedziecie z ordynansem do V. batalionu.

Skrzywił się Durek cośkolwiek.

— Coś, jak widzę, nie w smak to wam — uśmiechnął się komendant — zaawansujecie prędko, jako sierżant trenu!

— Nie o to idzie!

— A o co!?

— Mojej podgórskiej wiary mi żal. Bo to psiekrwie biją się tak pięknie, aż miło patrzeć.

— I tak kilka plutonów Podgórzan pójdzie do V batalionu, to znów będziecie razem.

— Więc wszystko w porządku!

— A no, tak!

— Bądźcie zdrowi, chłopcy — przemówił na pożegnanie Durek — a trzymajcie się tam dzielnie, abyście się nie dali zjeść Moskalowi!

— Nie odchodźcie, sierżancie, od nas! Sama nasza stara wiara tutaj!

— Muszę!...

— Bądźcie zdrowi!

Niespodzianie otoczyli go kołem, zanim się spostrzegł, podnieśli do góry, podrzucili.

— Wiwat sierżant! Wiwat Durek! Żyj nam i walcz z nami!

— No, już dość, do cholery — zaklął, kiedy go poczęli huśtać na rękach. — Dość już, do cholery!

Pożegnał się serdecznie z żołnierzami i do piątego batalionu pomaszerował.

. . . .

* * *

Ciężkie to było zadanie trenu, stojącego w Grębosowie poza linią ognia, dowozić amunicyę i prowiant do linii boju Radomia – Iwangrodu. Po uciążliwych drogach tren wolno się posuwał, zapadały się koła wozów w rozmokłą ziemię, a w dodatku osłabione konie co chwila potykały się, ustając w drodze.

Sierżant Durek w piątym dniu walki pod Iwangrodem dostał rozkaz dostarczenia amunicyi batalionowi, walczącemu pod Krzywopłotami.

Nie dotarł jednak do zamierzonego celu. Batalion bowiem cofnął się przed przeważającemi siłami nieprzyjaciół, a kiedy tren nadciągnął, na linii boju cicho już było i spokój panował.

— Jesteśmy odcięci! — poczęli szeptać żołnierze.

Lada chwila nadciągnąć mogły siły moskiewskie i zabrać ich wraz z trenem do niewoli. Przejrzał tę sytuacyę sierżant i czempędzej ułożył plan działania.

— No, chłopcy, żwawo, musimy uciekać, nie opuścimy wozów, ani amunicyi.

Spojrzał na mapę i wytknął sobie drogę.

— Jazda!

Ruszyły konie, podcięte batem z wysiłkiem poczęły ciągnąć naładowane wozy.

Po długich tarapatach dotarli bezpiecznie do Katowic, straciwszy tylko jeden wóz z prowiantami, a stamtąd przez Żywiec, Białą do Szaflar.

Tu sierżant zasięgnął informacyi, gdzie się znajduje obecnie V. batalion i natychmiast ruszyli we wskazanym kierunku. Zdziwił się bardzo batalionowy Rylski, kiedy zobaczył nadciągający tren.

— Cóż z wami było? Sądziłem, żeście wpadli w ręce Moskali.

— O mało! Cudem tylko wyślizgnęliśmy się im. Prawie z przed nosa uciekliśmy.

— Są jakie straty?

— Wóz i dwa konie! I około dwustu bochenków chleba.

— Z ludzi nikt?

— Nikt!

Przedłożył obszerny raport z odbytej poprzednio drogi. Uśmiechnął się batalionowy i choć, wiecznie niezadowolony, poklepał przecież sierżanta po ramieniu.

— Brawo sierżant! Brawo!

. . . .

* * *

V. batalion zajął pozycyę pod Lichninem, okopał się w ziemi i przemagającą siłę Moskali powstrzymywał. Trzymał się dzielnie przez cały dzień, przyszła ciemna, grudniowa noc.

Odwilż stopiła biały śnieg, mętne kałuże poczyniły się na polach, ściekały do wykopanych rowów strzeleckich, w których żołnierz czuwał, od czasu do czasu chwytając za karabin, kiedy na nieprzyjacielskim okopie zobaczył coś podejrzanego.

Komendant batalionu, Rylski, nieustannie przesuwa się pomiędzy żołnierzami, do męstwa zmęczonych zagrzewając.

— Chłopcy! Jutro wigilia! Przez dzień musimy wroga złamać, by jutro przy wigilijnym stole zasiąść.

Jutro wigilia.

Niejednemu staje przed oczyma ciepły pokoik rodzinny, białym obrusem zasłany stół, choinka w pośrodku, wśród śmiechu rodzinnego i gwaru.

Wilgoć, zimno w ciało i w kość się wżera, jakby ostrzem bagnetu tnie, ból sprawia. Nie zważa na to nikt, tylko czujnie baczą, czy przebiegły wróg nie zechce podkraść się nocą pod okopy i znienacka na nich wpaść.

I tak przeszła noc.

Nocą posłane patrole nie wróciły jeszcze. Niecierpliwił się komendant Rylski, różnie przypuszczając: że padli, że do niewoli wzięci, że wreszcie zabłądzili.

A patrol miała zadanie ciężkie i ważne: Dowiedzieć się o sile rezerwy, która w pomoc szła i o zamiarach wroga, jakie przez noc uknuł.

Długą linią okopane wojsko leży.

Zdaje się, że po bitwie już, taki spokój, cisza. Złowroga cisza. Coś niedobrego uknuł wróg, bo strzelać przestał, jakby umarł, albo też z okopów zwiał. Ale on tam jest. Mignięcie się szarego munduru stwierdza to — że on jest.

Przebiegły wróg!

Nagle rozpoczął silny, nieskuteczny ogień w okopy V batalionu. Jakby chciał przestraszyć tą ilością kul, tym nieustannym hukiem.

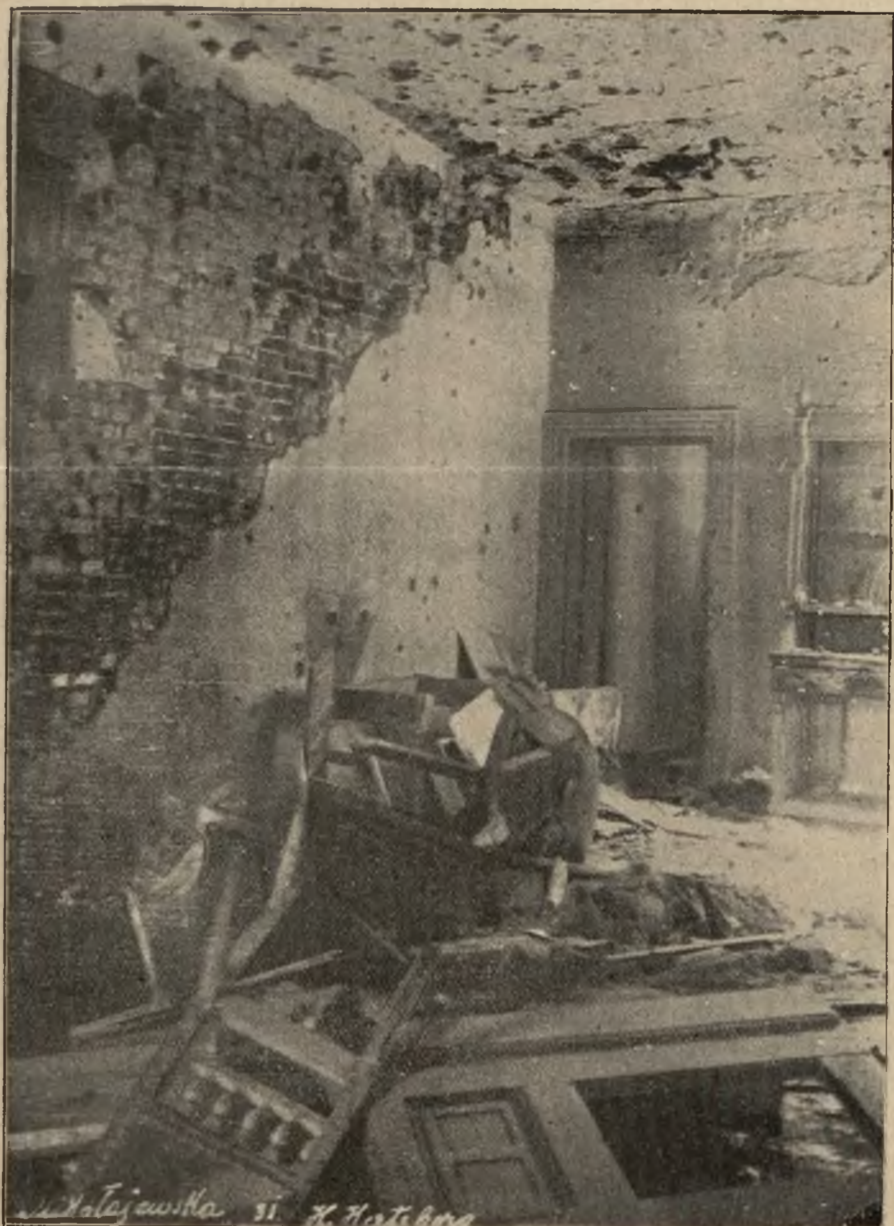
Ozwały się i nasze austryackie szybkostrzelne armaty, poczęły pluć żelazem, ozwały się i rosyjskie działa.

W rowach niejeden boleśnie jęknął i padł. Świst kul, rannych jęk — piekło, istne piekło na tej ziemi.

Rannych trzeba z okopów brać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ze zbombardowanej Łodzi:



Mieszkanie H. Hertzberga, reprezentanta Tow. Ubezpieczeń, zniszczone granatem



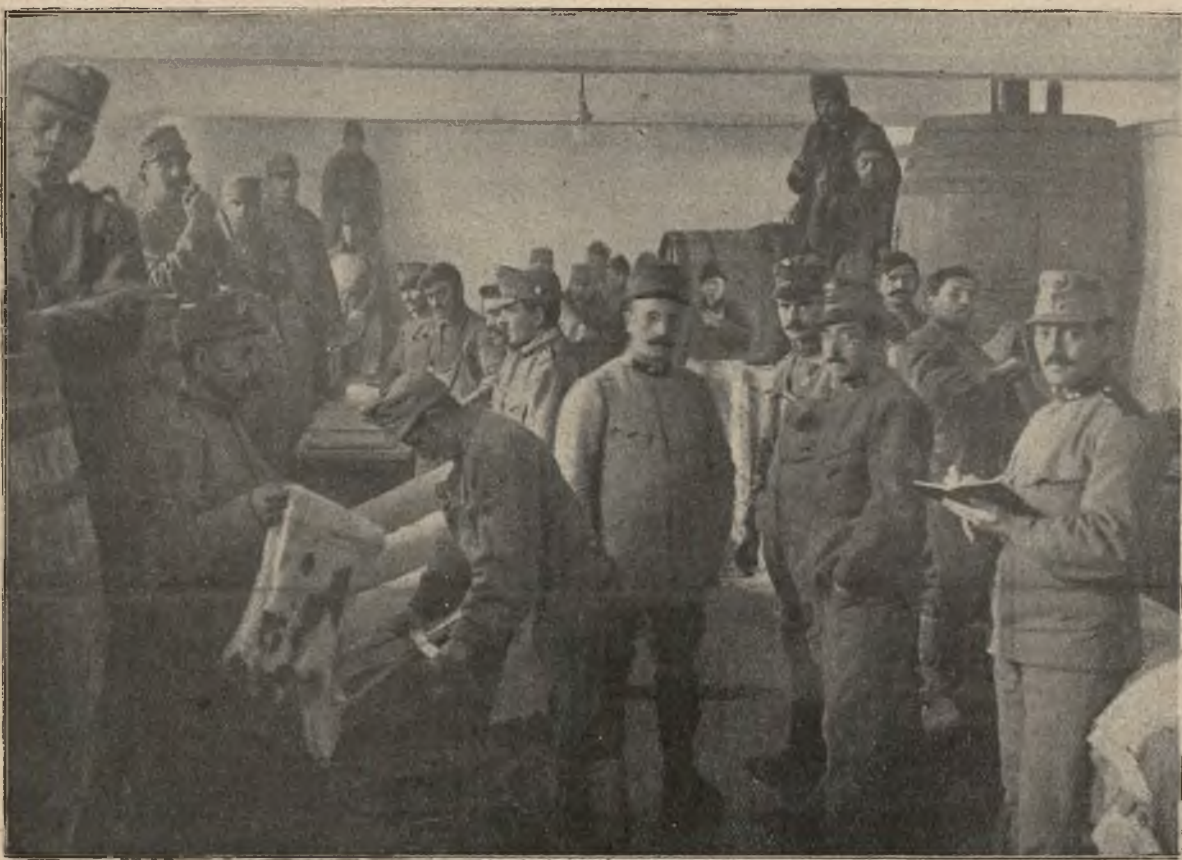
Skutki wybuchu granatu w domu l. 23—25 przy ul. Zgierskiej.



Skutki bomby z aeroplanu: dom przy ulicy Orlej l. 5



Fabryka L. Kaiserbrechta, zniszczona przez wybuch granatu.



Przemyśl w czasie obecnej wojny: Fabryka skór. (Fot. M. Todt, Przemyśl.)

Przemyśl w czasie obecnej wojny.

Jeszcze przed pierwszem zbliżeniem się Moskali pod mury Przemyśla zarządzono z polecenia komendy fortecy ewakuacyę miejscowej ludności cywilnej. Wywieziono część jej w różne strony monarchii, część jednak pozostała.

Aczkolwiek liczba mieszkańców Przemyśla nie jest obecnie zbyt wielką, zaprowiantowanie jej przecież na czas oblężenia było dość trudne, zwłaszcza, że dowóz żywności i rozmaitych materyałów po ustąpieniu wroga nie mógł być, z powodu zniszczenia środków komunikacyjnych w okolicy, przeprowadzony z całą intenzywnością.

Mimo to komenda postarała się o to, aby nie brakło niczego, co mogłoby w tych ciężkich czasach przydać się kilkudziesięciu tysiącom głów, pozbawionych przez czas, nie dający się określić, wszelkiej styczności ze światem zewnętrznym, a skazanych na pobyt w obrębie twierdzy.

O utrzymaniu kontaktu z resztą monarchii przy pomocy poczty lotniczej poprzednio już wspomina liśmy, dodać jednak należy, że wynaleziono nadto daleko wygodniejszy, choć może mniej pewny sposób wysyłania korespondencyi prywatnej z oblężonego miasta.

Zarząd poczty wojskowej posługuje się w tym celu specyalnym balonem, niezbyt wielkich rozmiarów, do których przytwierdza się pakunki, zawierające listy, wypuszcza się je następnie na los szczęścia. Okoliczną ludność zawiadomiono, iż każdy, kto znajdzie tego rodzaju przesyłkę, ma ją doręczyć najbliższej władzy, cywilnej lub wojskowej, która ze swej strony postara się o odstawienie jej do najbliższego urzędu pocztowego w celu dalszej ekspedycyi. Znalazca otrzymuje zato dziesięć koron nagrody.

Wobec tego, że załoga i ludność oblężonego miasta nie jest pozbawioną wiadomości z poza rejonu fortecznego, umożliwione jest też i wydawanie pisma codziennego, noszącego tytuł *Wiadomości wojenne*. Cieszy się ono ogromną poczytnością, przynosząc wzmianki o tem, co słychać na szerokim



Przemyśl w czasie obecnej wojny Trzyletnie dziecko, znalezione na polu walki pod Magierą w dniu 25. paźdz. przez naszych żołnierzy.

świecie i w samem mieście. Młodociani kolporterzy, których mimo ewakuacyi dość pozostało, znajdują w ten sposób wcale przyzwoity zarobek.



Przemyśl w czasie obecnej wojny: Licytacya niepodjętych przesyłek na dworcu kolejowym. (Fot. M. Todt, Przemyśl).



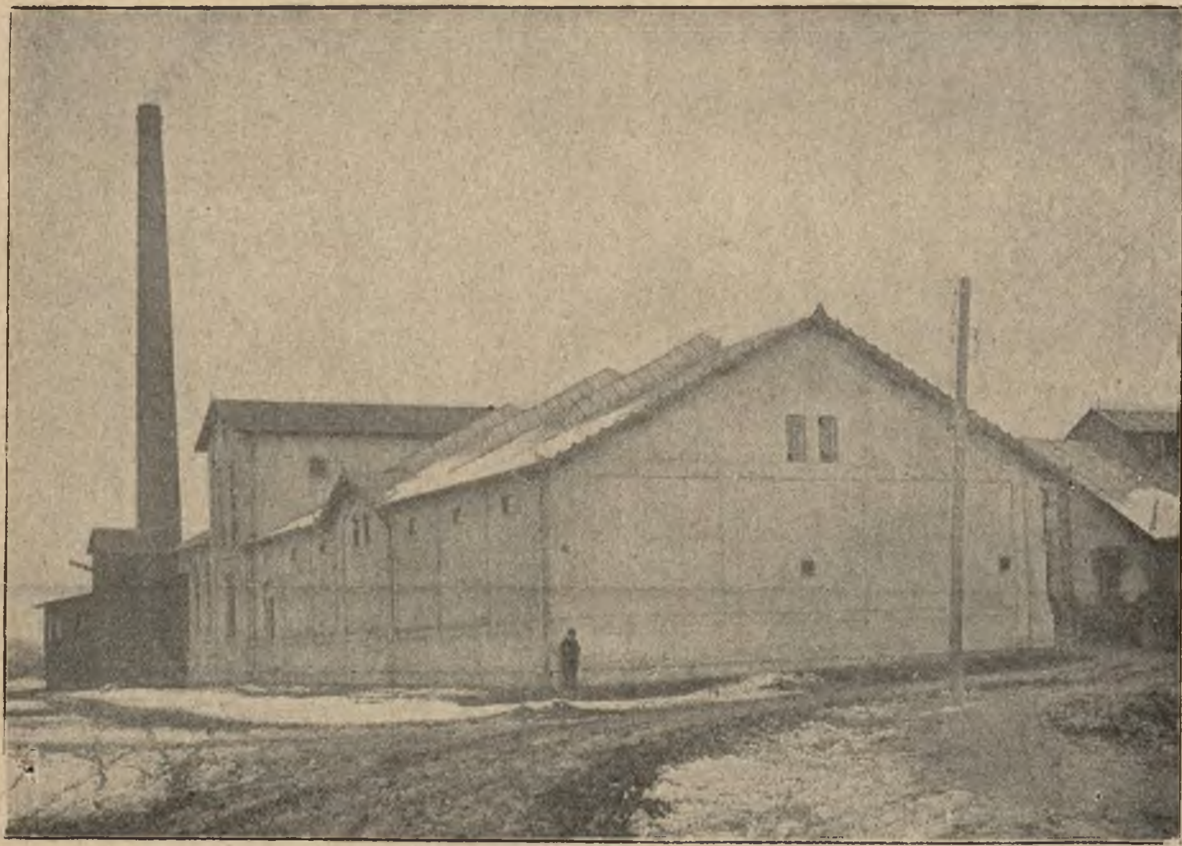
Przemyśl w czasie obecnej wojny: Praca w rzeźni wojskowej (Fot. M. Todt, Przemyśl)

Główny nacisk położono przecież na sprawę wyżywienia i zaopatrzenia w odzież oraz zaspokojenie najniezbędniejszych potrzeb ludności cywilnej i załogi wojskowej, zwłaszcza, że nadchodziła zima, daleko sroższa, niż u nas. Postarano się też w pierwszym rzędzie o zapas węgli i drzewa opałowego, świec i nafty, z czem jednak musiano się obchodzić bardzo oszczędnie. Gdy brakło zapałek, komenda rozpoczęła fabrykacyę ich we własnym zarządzie, zwłaszcza, że znaleźli się odpowiednio ukwalifikowani robotnicy wśród miejscowej załogi.

Kiedyś, po szczęśliwem ukończeniu wojny, pu-



Przemyśl w czasie obecnej wojny: Szwalnia w wielkiej sali Sądu obwodowego, urządzona za inicyatywą komisarza twierdzy, p. Karasińskiego. (Fot. M. Todt, Przemyśl.)



Przemyśl w czasie obecnej wojny: Gorzelnia czynna podczas oblężenia.

sta odpowiednią liczbę bydła rzeźnego, które miało równocześnie dostarczać mieszkańcom mleka, i starając się o zabezpieczenie paszy. Po chwilowem cofnięciu się Moskali zapasy te, o ile się dało, uzupełniono, pamiętać przecież trzeba, że w promieniu kilkunastu mil wszystko było doszczętnie zniszczone, więc tak to łatwo nie poszło.

W rzeźniach, prowadzonych również w zarządzie wojskowym, bije się codziennie odpowiednią liczbę bydła rozmaitego gatunku. Mięso idzie na potrzeby załogi, otrzymuje je także i ludność cywilna, która zmuszoną była pozostać w mieście.

Jak więc z powyższych wzmianek wnosić można — wiadomości nasze są bardzo skąpe, co każdy zresztą łatwo zrozumieć powinien — życie w Przemyślu oblężonym nie różni się zasadniczo od owego, jakie tutaj wrzało w normalnych czasach, gdy Moskale byli jeszcze za słupami granicznymi. Ludność krzepi się przecież nadzieją, że miną już rychło te ciężkie chwile, a zabłyśnie jutrzenka wyzwolenia i w ten sposób osładza sobie gorycz obecnego położenia, nie upadając przecież na duchu, owszem oddając się swym zwykłym zawodowym zajęciom, czego dowodem illustracya, przedstawiająca licytacyę niepodjętych przesyłek na dworcu kolejowym przemyskim.

Choć armaty i karabiny maszynowe grały w oddali, w dniu przetargu zebrało się sporo kupujących, którzy wzajemnie przelicytowywali się, jak za dawnych, lepszych czasów i również owiani nadzieją, że one rychło już powrócą.

dełko, bodaj nawet próżne, z zapałek z czasu oblężenia stanowić będzie pożądaną pamiątkę dla zbieraczy osobliwości.

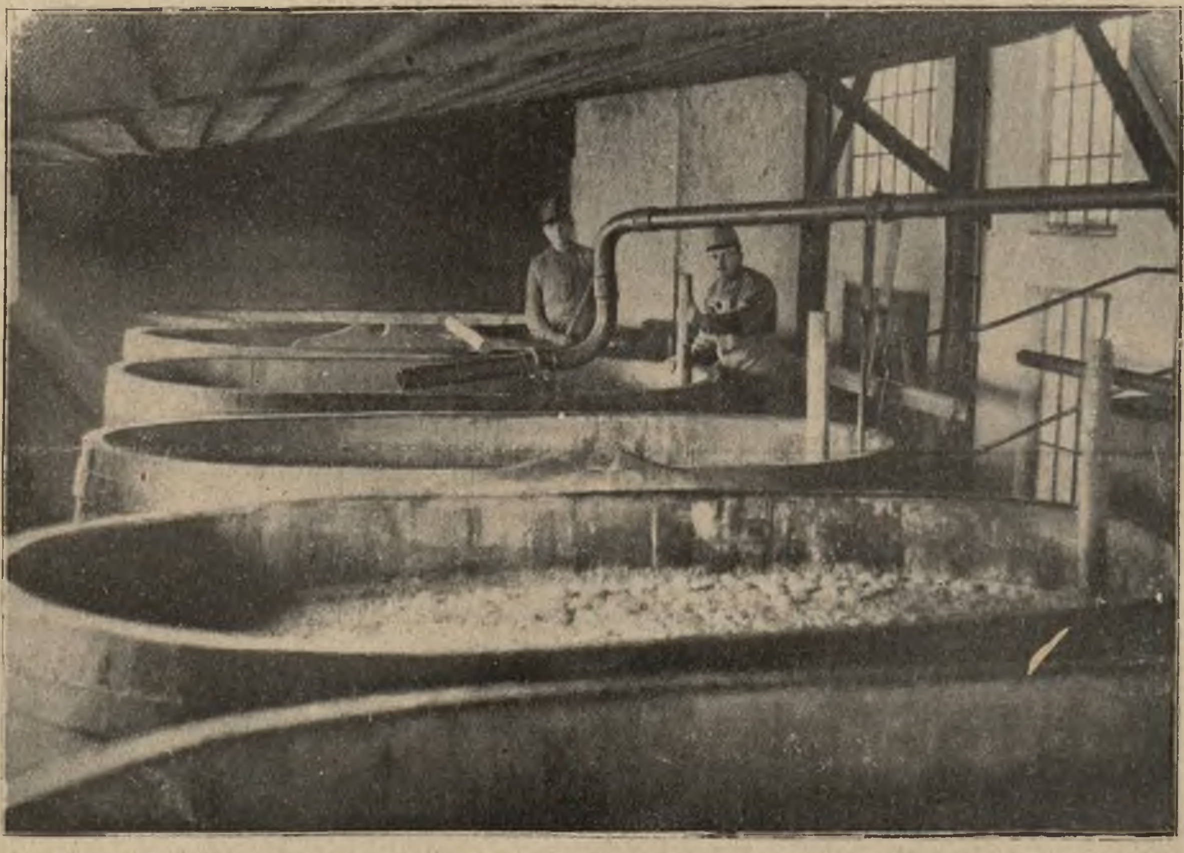
Ponieważ zachodziła obawa, że miastu może braknąć spirytusu do celów przemysłowych, postarano się także o zapobieżenie temu, co przeprowadzono w ten sposób, iż rozebrano urządzenie jednej z gorzelń, leżących w rejonie fortecznym, a, jako narażonej na strzały nieprzyjacielskie, przeznaczonej na zburzenie. Następnie przewieziono je w bezpieczne miejsce i zmontowano napowrót, rozpoczynając zupełnie prawidłowy wyrób spirytusu.

I tutaj, tak jak w fabryce zapałek, pracują żołnierze.

Ze względu na nadchodzącą zimę trzeba było pomyśleć także i o odzieży cieplejszej tak dla wojska, jak i ludności. W tym celu urządzono w ubikacyach sądu obwodowego szwalnię, w której pracuje od świtu do nocy sto trzydzieści panien z wszelkich sfer społecznych. Szwalnia ta urządzoną została głównie dzięki zabiegom cywilnego komisarza twierdzy, p. Karasińskiego.

Skór dla potrzeb kuśnierskich oraz rymarskich dostarcza specyalna fabryka, prowadzona również w zarządzie wojskowym.

Najważniejszem zadaniem komendy było i jest zaopatrzenie załogi i ludności w żywność. Już w chwili wypowiedzenia wojny zapasy artykułów spożywczych, pomieszczone w magazynach wojskowych i prywatnych, były poważne, skompletowano je jeszcze w ostatniej chwili, spędzając w obręb mia



Przemyśl w czasie obecnej wojny: Wnętrze i urządzenie prowizorycznej gorzelni na czas oblężenia.



Przemyśl w czasie obecnej wojny: Fabryka zapałek. (Fot. M. Todt, Przemyśl).

Seryi tej dopełnia zdjęcie, przedstawiające Moskali, jako jeńców na Zamku przemyskim, oraz fotografia dziecka, znalezionego w dniu 25 październik 1914 r. przez żołnierzy na linii bojowej pod Magierą. Biedactwem tem, liczącem zaledwie około trzech lat życia, zajęli się ekscellencya Tschurtschenthaler i porucznik rezerwowy, baron Guttmann i na swój koszt oddali je na wychowanie do zakładu w Przemyślu, dopóki rodzice się nie zgłoszą. Dziecko nazywa się „Magiera".

Dekoracya polskiego pospolitaka.

Części 215-go batalionu pospolitego ruszenia należały do tych oddziałów, które miały powstrzymywać napór rosyjski w kierunku Kasiny Wielkiej, dopóki nie nadejdą własne posiłki. Słabe te oddziały tylko z wielkim trudem mogły się utrzymać na swych stanowiskach i już częściowo chwiać się poczęły wobec przewagi rosyjskiej.

Plutonowy 215-go batalionu Andrzej Łowicki umiał w największem niebezpieczeństwie mały swój oddział własną odwagą i wielką energią zachęcić do wytrwania na stanowisku. Rosyanie, sądząc, że oddział ten musi być bardzo silny, gdy ich tak powstrzymuje, tylko ostrożnie posuwali się naprzód, co ułatwiło naszym zadanie. Wreszcie i oddział Łowickiego blizki był zguby, ale artylerya austryacka otworzyła w samą porę ogień, umożliwiając przepro-



Dekoracya polskiego pospolitaka: Major Franciszek Wiejacki przypina plutonowemu 215-go batalionu Andrzejowi Łowickiemu srebrny medal I-szej klasy za waleczność.



Po odwrocie wroga: Dom adw dra Cygi w Brzesku, uszkodzony pociskiem armatnim.

wadzenie ataku, w którym Rosyanie zostali odparci. Jestto drobna część wielkiej bitwy Limanowa—Łapanów.

Plutonowy Łowicki za waleczność został odznaczony srebrnym medalem I klasy. Dekoracya jego odbyła się z końcem stycznia b. r. w Słotwinie.

Komendant batalionu major Franciszek Wiejacki przedstawił zgromadzonym oficerom i żołnierzom w krótkim rzeczowym wywodzie czyn Łowickiego, za który to czyn naczelna komenda przyznała dzielnemu żołnierzowi wielki medal srebrny za waleczność. W ciepłych słowach wyraził major Wiejacki Łowickiemu życzenia, że zyskał to odznaczenie, które spada temsamem na batalion, a w pełnym zapału militarnego przemówieniu zachęcał swoich żołnierzy do naśladownictwa, i wznosząc z całym zapałem powtórzony okrzyk na cześć cesarza, przypiął Łowickiemu przyznaną dekoracyę, poczem nastąpiła przed dekorowanym defilada całego batalionu.

Należy przytem stwierdzić, że żołnierze polskiej narodowości w obecnych olbrzymich zapasach, które się toczą na wszystkie strony, dali niejednokrotnie dowody, że płynie w ich żyłach niezużyta pełnego wojennego animuszu krew przodków i że pełniąc chętnie i z całym zaparciem się siebie twarde obowiązki żołnierskie, przyczyniają się w znacznej mierze do ostatecznego zgnębienia odwiecznego wroga.



Po odwrocie wroga: Skutki bombardowania w Brzesku.

Po odwrocie wroga.

Walka na wschodnim terenie, która toczy się na ziemiach polskich od Bałtyku aż po Karpaty, wchodzi obecnie w fazę decydującą, a dla armii sprzymierzonych bardzo pomyślną. Na całej długości olbrzymiego frontu, w Prusach Wschodnich, w Królestwie Polskiem, w Galicyi i na Bukowinie Rosyanie ponieśli dotkliwą klęskę i cofają się w popłochu, opuszczając jedną po drugiej miejscowość, gdzie już zaczęli zaprowadzać swą gospodarkę. W ten sposób już znaczna część Galicyi została uwolniona od najazdu rosyjskiego. Teraz też dopiero, po opuszczeniu wroga, można stwierdzić zniszczenie, jakiemu uległy nasze wsie i miasta, zajęte przez nieprzyjaciela...

Trzebaby napisać całe tomy i wydać całe albumy, aby można było przedstawić choć w przybliżeniu obraz całych połaci kraju, przez które przeszedł huragan wojny. Obecne czasy nie pozwalają jeszcze na pisanie takiej historyi, do wiadomości ogółu dochodzą tylko poszczególne fakty, z których dopiero można domyśleć się ogromu nieszczęścia.

Całe wsie, które znalazły się w ogniu walki, zostały zrównane z ziemią, a ludność bądź zdołała zawczasu uciec, bądź kryła się w wykopanych pod ziemią jamach. Pożoga wojenna nie oszczędziła również i miast galicyjskich, które w większym lub mniejszym stopniu ucierpiały skutkiem walki.

W czasie ostatnich zagonów rosyjskich pod Kraków, wśród wielu miast i miasteczek, gdzie wtargnęli nieproszeni goście, znalazło się i Brzesko. Jakkolwiek dotychczasowe wiadomości mało mówiły o walkach w okolicach tego miasteczka i nie przedstawiały jego losu w tak opłakanych barwach, jak innych miast, okazuje się, że i Brzesko przeżyło ciężkie chwile. I tam wrzała walka i tam pękały na ulicach granaty i szrapnele.

Zamieszczone przez nas w dzisiejszym numerze fotografie przedstawiają właśnie widome znaki tej walki. Widzimy tam dwa domy, przedziurawione pociskami armatnimi.



Przemyśl w czasie obecnej wojny: Jeńcy rosyjscy na Zamku przemyskim.

Stanisław Sławiecki

Księżniczka

Idylla.

5

Wypowiedziała to zdanie, akcentując wyraz „moi“ z pewnym odcieniem zalotności.

— Właśnie mówiliśmy, że możnaby tu długo mieszkać i nie nudzić się.

— Więc czemuż „nie ma słowo stać się cynem?“ — odpowiedziała z uśmiechem.

— W twojem towarzystwie, kuzynko, odważę się twierdzić, największa pustelnia byłaby pałacem — rzekł Tolo poważnie, rzuciwszy okiem na brata.

Konrad się nachmurzył i lekko zaczerwienił.

— Ale może kuzyni opowiedzą, co słychać w świecie? Z papą wybieramy się teraz nad północne morze, a potem może przyjedziemy do Wiednia.

— Tak? — zdziwił się Konrad. — Ależ tam będzie teraz na północy zimno, powtóre teraz cały świat już wyjechał z północy.

— A ja właśnie... to moja zachcianka... nie widziałam jeszcze północnego morza.

— Ech, nic pięknego. kuzynko! Tyś nie stworzona dla północnych wichrów i mgły, dla ciebie błękitne niebo południa.

— A zima? — zapytał Tolo.

— Zdaje się w Krakowie.

— W Kra-ko-wie? — zdziwił się Konrad.

— Tego, kuzynko, nie zrozumiem nigdy, jak można tak się zamęczać samemu; skazywać się na nudę dobrowolnie.

— A kuzyni?

— Naturalnie, że w Wiedniu, chociaż Tolo upiera się za Paryżem.

— No, proszę cię. kuzynko, powiedz sama, dlatego, że on zachorował na pisanie operetki, ja mam siedzieć w Wiedniu!

— Aa... to z kuzyna kompozytor?

— No, to będzie dopiero pierwszy mój krok.

— Gratuluję i cieszę się bardzo, ale skądże ten zamiar?

— Wiesz, kuzynko, już dawno robiłem próby, wcale nawet udatne. Co do tej zaś operetki, to myśl napisania powstała w tym sezonie. Jakie oni teraz piszą te operetki! Fall, Strauss się już przeżyli, zaczynają nudzić, a ci... ci... nowi... Eysler, Kalman... ech to wszystko nie warte złamanego szeląga. Więc pomyśl, czy dla muzyki nie mam poświęcić mojej osobistej przyjemności?

— Ależ, naturalnie! Radzio ma zupełną racyę... dla muzyki... A możnaby może posłyszeć coś z twych kompozycyi, kuzynie?

— Z przyjemnością.

— Więc idziemy... czy Tolo z nami?

— Och, wybacz kuzynko, ja to już sto tysięcy razy słyszałem.

— Jesteś złośliwym.

— Więc do zobaczenia.

Konrad z księżniczką podążyli w stronę pałacu, a Witold poszedł w ogród. Idąc, spotkał spacerujące panny, Zofię i Ewę z Adamem. Okiem znawcy przyglądnął się dokładnie pannom, potem spojrzał na Adama i kłaniającemu się oddał lekki ukłon.

Ewunia wpadła mu w oko. Dziewczynę widocznie także zainteresował, gdyż, uszedłszy kilka kroków, oglądnęła się, głośnym śmiechem dając wyraz swemu zadowoleniu.

Tolo nie stracił fantazyi i, momentalnie podniósłszy rękę do ust, posłał jej całusa. Za chwilę znowu się oglądnęła i przekonała się, że stał w tem samem miejscu i patrzył na nią. Cieszyło ją to, więc powtarzała tę czynność, dopóki aleja, skręcając się nie zasłoniła jej widoku.

Witold był zaintrygowany.

Skądże tu taka łania się wychowała? Dziewczyna co się zowie — chwalił ją sam przed sobą — krew i mleko! Co za pierś, jaka szyja... Pewnie córka jakiego oficyalisty! A ten, ten... guwerner, to lis... to lis; cicha woda!

Wieczorem, przed kolacyą, kręcił się tak długo, aż ją spotkał.

— Pani daruje! — rzekł uchylając kapelusza — że się tutaj w ogrodzie ośmielę pani przedstawić, ale nie mam sposobności gdzieindziej, a zaniedbywać tak miłe sąsiedztwo, byłoby nie do darowania... jestem Witold Rymirski.

Ona się śmiała.

— Wesołość pani przy naszem poznaniu biorę za dobrą wróżbę i mam nadzieję, że zostaniemy wkrótce przyjaciółmi.

— Trzeba najpierw, panie hrabio, na przyjaźń zasłużyć.

— Będę się starał wypełnić wszelkie warunki. Co pani tylko rozkaże, jestem gotów uczynić... największe nawet szaleństwo.

— Co może być u pana szaleństwem?

— Przypuśćmy... każe mi pani o północy stanąć przed swem oknem, stanę i będę tak stał, czy będzie piękna, księżycowa noc, czy deszcz będzie lał, a pioruny biły... wszystko... czy to mało?

— Ależ... panie...

— Więc przyjdę w nocy z gitarą w ręce, a pieśnią miłosną na ustach i będę pani nucił... A pani będzie śniła o szczęściu, o wiośnie, o raju. Zapłaty za to nie pragnę żadnej, tylko o jedno błagam spojrzenie, o nadzieję sympatyi.

— Pan taki, taki... śmieszny... ha! ha! ha! — śmiało się dziewczę.

A on jeszcze jeden przypuścił atak.

— Więc dziś... w cudną noc zobaczę twe oblicze. O pani, błagam cię, miej litość nademną!

To mówiąc padł na kolana i, uchwyciwszy kraj jej sukienki, całował go.

Ewunia spłonęła cała. Wyrywała mu swą sukienkę, ale on jej nie puszczał.

— Panie! panie! Jeszcze kto zobaczy!

— Więc niech mi pani zrobi choć nadzieję...

— Ależ, panie... niech pan wstanie i nie całuje tej sukienki, bo powalana, to domowa moja sukienka! — tłumaczyła mu z prostotą.

— Więc dziś, tu, o północy? Dobrze?

— Ee, co pan też...

— Błagam...

— Jak babcię kocham, ktoś idzie!

Wyrwała się i uciekła, a nim się Witold podniósł z ziemi, stała przy nim kuzynka i Konrad.

Zanosili się od śmiechu.

Witold był zły. Przez taką srokę się skompromitować raz na zawsze!

— Widzę, że kuzyn nie próżnuje... ha ha!... — śmiała się.

— I nie najgorszą znalazł zwierzynę — dodał Konrad.

— Trubadur z kuzyna niezły! Czy i ja mogłabym prosić o taką serenadę o północy?

— Jaką serenadę ma kuzynka na myśli?

— Taką, o jakiej przed chwilą mówił kuzyn tak poetycznie, całując kraj zaprószonej sukienki tej panny, co uciekła na nasz widok.

— Chciałem dziewczynie zawrócić w głowie.

— I stało się odwrotnie.

— Ej, to byłoby trudniej. Ja ją i tak muszę odbić temu... guwernerowi — śmiał się.

— Jakiemu guwernerowi? — spytała szybko księżniczka.

— No, Zygmusia nauczyciel.

— Aa... ten, ten jakiś filozof... jakże on się nazywa... Myślę, że możesz być pewnym wygranej, kuzynie — rzekła, śmiejąc się sucho, a oczy jej dziwnym zapałały blaskiem.

Zaczęła mówić o pogodzie.

Adam tymczasem czynił przygotowania do wyjazdu. Sierpień miał się ku końcowi. Z końcem września miał młody Zygmunt składać egzamin. Był do niego najzupełniej przygotowanym. Adam więc nie miał tu nic więcej do roboty w Zbylitowie. Czytelnią zainteresował się bardzo staruszek proboszcz, a sklep spółdzielczy został na głowie pana Rafała, który się do tej myśli ogromnie zapalił.

Dziś był Adam zaproszony na wieczór do państwa Klimowiczów, popołudniu więc poszedł pożegnać księcia.

Książę przyjął go jak zwykle uprzejmie, poprosił do swego gabinetu, poczęstował cygarem i zagadnął.

— Podobno pan wyjeżdża zaręczony?

Adam zdziwił się.

— Ja?

— Tak... podobno się pan bardzo kocha.

Adam zaniepokoił się i zarumieniony zapytał:

— Ale w kim, proszę pana?

— W córce mojego Klimowicza. No, niezła partya, ma niebrzydki folwark.

— Nie! — zaprzeczył żywo — to chyba nieporozumienie.

— Tak tu mówią. Założył mi pan we wsi czytelnię dla chłopów, bardzo dziękuję, tylko czy im to na dobre wyjdzie? Jak byłem młody, to też człowiek myślał o różnych reformach, ale potem... Ale raczej zapytam pana, czuje się pan zadowolony z pobytu tutaj?

— Owszem, bardzo jestem zadowolony.

— Jeśli tak, to już teraz proszę na przyszły rok... proszę, niech pan przyjedzie nawet wcześniej. Co do mnie, to zauważyłem u Zygmusia duże postępy, on za panem przepada! I córka mi coś wspominała, że pan pięknie wykłada... podobno przychodziła na pańskie lekcye... co?

— Ona zawsze była oryginalną!

Książę wstał z fotelu, Adam zaczął się żegnać.

— Więc proszę, niech pan da znać o swym adresie, to. gdy przyjedziemy do Krakowa, uwiadomimy pana. Do widzenia się z panem... a... a... muszę jeszcze Zygmusia przecież zawołać

Otworzył drzwi do salonu i zawołał:

— Zygmusiu!

Z trzeciego pokoju wybiegł chłopiec, za nim Lili. Adam ukłonił się. ona spuściła oczy i cofnęła się. Adamowi zrobiło się strasznie smutno.

Chłopiec przypadł do Adama, ściskał go za obie ręce, zapraszał do siebie, wreszcie ucałował go w policzek. Był wzruszony jego wyjazdem.

Adam wyszedł z pałacu oszołomiony.

Skąd te wszystkie bajki? Dlaczego... ona taka smutna? Cofnęła się na mój widok? Co to wszystko znaczy?

Wirowały mu w głowie pytania, na które nie mógł znaleźć odpowiedzi. Powlókł się do Klimowiczów. Z pod drzwi jeszcze miał ochotę wrócić, ale zmusił się. Wszedł do przedpokoju. Zaraz wypadł pan Rafał i jego żona. Serdecznie go witali, czem, nie chcący, robili mu dużą przykrość, przywodząc mu na myśl opowiadanie księcia.

— Proszę, proszę, niech pan siada, dziewczęta z Jankiem wyszły na chwilę. zaraz wrócą.

I zaczęła się rozmowa, długa, wlokąca się.

— Więc pan jedzie już! — rzekła z odcieniem żalu pani Barbara.

— A już.

— Hm! Szkoda!

— Cóż robić.

— A dokąd?

— Jadę do Krakowa.

— W tym roku pan kończy studya?

— Już właściwie skończyłem.

— Tylko pewnie egzamina?

— Tak, jeszcze egzamin.

— A potem?

— Doprawdy, że nie wiem jeszcze, co z sobą pocznę.

— Mój Boże! — westchnęła pani Barbara — a nasz Jaś już cztery lata zmarnował! A co to wszystko kosztuje. Jeszcze się teraz Zosi zachciewa uniwersytetu.

— Wspominała mi coś o tem... na literaturę pewnie.

— Gdzie tam, panie, zmieniła swój program. Niech sobie pan wyobrazi... medycyna jej się uśmiecha!

— Medycyna! — uniósł się pan Rafał — i ona myśli, że ja na to pozwolę!

— Ależ. Rafuś, nie unoś się! Ty się jeszcze rozchorujesz. Wie pan, mój mąż słaby jest na serce i zaraz się po takiem rozdrażnieniu kładzie do łóżka, on strasznie wrażliwy.

Adam słuchał tego wszystkiego cierpliwie. ale z rozpaczą patrzył na zegar, liczył minuty, sekundy. Myślami był gdzieindziej, tam przy fortepianie klęczał u jej stóp i patrzył w jej cudne oczy.

A pani Barbara ciągnęła dalej:

— Raz, pamiętam, będzie temu już ze dwadzieścia... a może trochę mniej... ale nie... dobrze mówię... będzie temu ze dwadzieścia lat...

Adam ścierpnął. Zanosiło się długie opowiadanie. Na szczęście młodzi wrócili.

Adam z rozkoszą podniósł się z fotelu i wyprostował swe kości. Panny zarzucały go pytaniami, na które odpowiadał, nie namyślając się, jak najkrócej. Męczyły go te pytania. Znalazł szczęśliwe wyjście. Poprosił pannę Zofię do fortepianu. Chwilę się wzbraniała, ale siadła i zaczęła grać jakiś sentymentalno-nastrojowy kawałek salonowy.

Adam usiadł w ciemnym kącie saloniku. Pragnął być w tej chwili sam, koniecznie sam, zdala od ludzi. Chciał się skryć przed nimi, by nie dosłyszeli, jak mu dziwnie nerwowo serce się tłucze, by nie podpatrzyli łez, które mu się cisnęły do oczu.

Raz skończyć z tem wszystkiem! Zdławić w sobie tę tęsknotę, co piersi rozsadza, zdusić te pragnienia, co go o ból głowy przyprawiały. Zaszyć się gdzieś w szarzyźnie, zniknąć z widnokręgu, przestać istnieć...

Uciec gdzieś na kraj świata przed samym sobą, przed swemi myślami. A myśli napływały, jak fala za falą, w takt dźwięków fortepianu. To wolniej i łagodniej zajmowały jego umysł, to atakowały go z siłą... myśli czarne, smutne, straszne. Wysilał się, ażeby nie myśleć.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Ze zbombardowanej Łodzi: Domek przy ul. Piotrkowskiej l. 214 Dach zburzony granatem.



Ze zbombardowanej Łodzi: Dom mieszkalny przy ul Aleksandrowskiej w Łodzi, zbombardowany i spalony skutkiem eksplozyi granatu.

Kronika tygodniowa.

Czarna rozpacz obsiadła mnie, wgryzając się w me serce i trapiąc, niczem tasiemiec starą pannę. Jak na wielki Post, jest to uczucie zupełnie odpowiednie, na wywołanie go złożyły się zaś najrozmaitsze okoliczności, w szczególności zaś pogoda. o której powiedzieć można, że jest prawdziwie pod psem.

Słońce przeważnie strejkuje, pokazując się bardzo rzadko, od czasu do czasu mrugnie tylko jednem okiem z poza chmur, by dać poznać, że nie zostało jeszcze wyewakuowane. Błoto po kolana, z góry kapie, więc wypada tylko w domu siedzieć.

Ale co znów robić w domu?... Każdy domator z braku innego zajęcia oddaje się obżarstwu i pijaństwu, a tu jeść nie można dużo, by nie naruszyć zapasów, przeznaczonych na czarną godzinę, tem bardziej zaś pić. Wodą przecież zakrapiać się nie będę, by jej dla amatorów tego trunku nie brakło, na wino mnie nie stać, piwo lada dzień podrożeje, gdyż ograniczono produkcyę słodu... Pozostaje wobec tego wyszukanie sobie innej zabawki. Ale chyba pluć i łapać nie będę, bom na to za stary i niezgrabny, z żoną kłócić się także nie myślę, z wojen domowych wychodzę bowiem z zasady jako strona pobita.

Cóż więc robić?

Ano... chyba zacząć pisać jakieś dzieło, które wsławi me imię, jeśli zostanie kiedyś wydanem kosztem naszej Akademii.

Myśli tej uczepiłem się, jak pijany płotu, wystarałem się u swej połowicy o odpowiedni kredyt nadzwyczajny na zakupno materyałów pisarskich i podążyłem zaraz rano do miasta, by się w nie zaopatrzyć. Potem — tak przynajmniej kombinowałem — zaszyje się człowiek w domowem zaciszu i nic go stąd wykurzyć nie potrafi.

Ale, człowiek strzela... Boję się, by mi znów ktoś nie zarzucił, iż w każdej kronice posługuję się tem samem przysłowiem. Cóż jednak pocznę, skoro nie znam odpowiedniejszego?

Przychodzę do jednego ze sklepów z materyałami do pisania i ordynuję odpowiednią ilość papieru, piór i atramentu, dowiaduję się jednak, iż i te artykuły podrożały.

— Co? — wołam z rozpaczą. — Pióra i atrament?.. Przecież nikt ich jeść nie będzie, ani pić. Przyznam się szczerze, że piłem już wszystko, ale nafty i atramentu jeszcze nie!

— Tak, łaskawco! Zgadzam się na to! — odpowiada mi papiernik. — Ale ci, którzy zajęci są fabrykacyą tych przedmiotów, muszą jeść i pić. Teraz drożyzna, więc musiało się im podwyższyć płacę. Jednem słowem, zdrożała produkcya, musieliśmy więc podnieść ceny!

— W takim razie kłaniam uniżenie! — zakończyłem. — Nic nie kupię! Wasza wina, że świat nie będzie oglądać pomnikowego dzieła, które byłoby zrobiło przewrócenie do góry nogami wszystkich dotychczasowych teoryi...

— A może to nawet i lepiej?! Niech już raczej zostanie tak, jak dawniej bywało...

— E!... Pocałuj pan psa w nos!... Co się pan zna na tem!... — wrzasnąłem zirytowany.

— Proszę mnie nie obrażać! — odparł z godnością. — Ja nie z takimi, jak pan, geniuszami rozmawiałem! U mnie sam ś. p. Matejko kupował papier i ołówki...

Mówił coś jeszcze. ale ja już nie słyszałem. gdyż, zirytowany do ostateczności, trzasnąłem drzwiami i podążyłem naturalnie „pod Obraz“, by zapomnieć o tej szarzyźnie życia codziennego, która daje się we znaki nawet nam, dziennikarzom i literatom.

Tutaj, zaraz przy bufecie, spotkałem się z pewnym filistrem, przed którym chciałem się użalić, wiedząc o tem z doświadczenia, iż podzielona boleść staje się lżejszą i łatwiejszą do zniesienia.

Wysłuchał z uwagą, potem odetchnął, jakby mu ciężki kamień spadł z serca.

— No, to dzięki Bogu! — wyrzekł wreszcie.

— Co pan mówi? — zapytałem, nie wiedząc, jak sobie tłumaczyć jego słowa.

— Mówię: dzięki Bogu! Skoro zdrożał papier, pióra i atrament, to na tem wyjdziemy dobrze my, zwykli śmiertelnicy. nie mający żadnych literackich aspiracyi, a skazani na czytanie tego, co nam różni młodzi poeci i nie poeci podają ciągle aż do obrzydzenia... Ja byłbym zdania, że rząd, lub choćby magistrat, powinien się wdać w to i zakazać pisania tym, którzy na tem się nie znają, bo w ten sposób drażnią tylko i denerwują ogół, a właśnie, jeśli kiedy, to teraz potrzeba nam równowagi umysłowej!

— Panie! — odrzekłem na to. — Jeśli masz pan takie zapatrywania, nie jesteś godnym, by cię święta ziemia nosiła i byś pił pilznera! Zrywam z panem wszelkie stosunki dyplomatyczne... Mieciu! Wobec tego tylko jedną bombkę, ale taką, co się zwie...

Chyba przyzna mi każdy, że miałem powód do wpadnięcia po raz drugi w szewską pasyę, nic też dziwnego, że spotkawszy dwu panów, znanych ze swego zamiłowania do sportu, szczególniej saneczkowego, a przypomniawszy sobie w sam czas, że właśnie mamy zamiast śniegu błoto. zapytałem. patrząc na nich wzorem ś. p. Ulixesa „z podełba“:

— A możeby tak na saneczki?

Popatrzyli na mnie obaj, jeden z góry. drugi z dołu (różnią się wzrostem), mruknęli coś pod nosem i poszli na salę, widocznie bardzo zagniewani, na własne bowiem oczy widziałem, iż wypili po dwie wódki i do tego większe!

To mi jednak ulżyło. Mogą mi ludzie włazić na nagniotki, ciekawy jestem, dlaczego i ja nie mam postępować w ten sam sposób. Wszak obowiązują nas wszystkich jednakowe prawa.

Ostatecznie i ja siadłem sobie spokojnie i zacząłem z przyjaciółmi politycznymi dyskusyę, naturalnie, według zwyczaju, od pogody:

— Ależ to aura! Niech ją dyabli!...

— Racya! Racya! — odpowiedział pewien radca. — Człowiek zakatarzony, kaszlący...

— Ja tam nie narzekam wcale na kaszel. Nie męczy mnie wcale.

— Musi się kochany redaktor widocznie szanować...

— Dyabła tam!

— To może pije pan jaką wodę?

— Otóż to właśnie! Jeśli jestem zakatarzony i czuję, że na kaszel się zbiera, wypijam z zasady flachę wody gorzkiej...

— I to pomaga na kaszel?

— Pomagać, nie pomaga, ale człowiek boi się potem kaszlać i w tem tkwi cała tajemnica...

— Trzeba będzie spróbować!

— Nie radziłbym radcy, bo to eksperyment czasem bardzo niebezpieczny... Trzeba mieć przytem dużo siły woli i, jak to mówią, „charakter w nogach“.

— A jednak spróbuję!...

— W takim razie proszę potem o garść wrażeń. Jeden ze znajomych nastrojowców prosił mnie o materyały do aktualnej impressyjki...

Z kolei przeszliśmy na wielki post, który. jak wiadomo. pieczętuje się śledziem. Wyraziłem ubolewanie, iż tego roku nawet i śledzie są droższe, jest ich mało. co zaś najważniejsze, nie są tak dobre, jak po inne lata.

— Panie! — rzekł jeden z towarzyszy stołu. — Ja od początku wojny śledzia w ustach nie miałem, a to dzięki panu! Wszak pisałeś w kronice, że wobec rozrzucenia min po morzu Północnem, łatwo zdarzyć się może, iż jedną z nich połknie śledź... Potem dostanie się w beczce do nas, ja go zjem i eksplozya gotowa...

— Obawa zupełnie na miejscu i cieszę się, że właśnie moja kronika do tego się przyczyniła. A czytał kochany pan ostatnie telegramy?... Nie?... Wielka szkoda! Ajencya Hawasa donosi urzędowo, iż pewien śledź połknął nie tak dawno całą niemiecką łódź podwodną wraz z załogą. Był to, rzecz prosta, śledź przynależny do Anglii...

— Boże! — wyszeptał przerażony. — Gdybym takiego zjadł przypadkiem, leżałby mi dopiero w żołądku! Bo łódź podwodna, jak słyszałem, jest cała z żelaza i szkła, a są to artykuły ogromnie niestrawne...

— Tak przynajmniej czytałem w podręczniku hygieny!

— Już, póki życia, nie wezmę śledzia do ust! Nie tylko śledzia, nawet żadnej ryby! Bo słyszał pan, że i we Wiśle podobno pływają miny?

— Słyszeć, słyszałem, ale nie widziałem. a ja tylko w to wierzę, na co sam patrzyłem! Chodzę czasem nad Wisłę, widziałem pływające w niej różne osobliwości, ale miny jeszcze nigdy!... To jest, właściwie źle mówię, widziałem różne miny, jakie robi pływający, ale żadna z nich nie może wybuchnąć!

— No, to przynajmniej tem mnie pan pocieszył!... A jak kochany pan redaktor uważa, czy moskale są bezpieczne?

— Ogromnie! Ale musi się pan obejść smakiem, bo niedługo nie będzie ich już w Galicyi. Emigrują gwałtownie ku swym śmieciom!

— Najwyższy czas! A cóż redaktor na podrożenie i pogorszenie pieczywa?

— A cóżby?... Nic! Nie uważam, by było już tak źle. Dopóki bułka dwucentowa kosztuje dwa centy, o drożyźnie mowy niema.

— Tak! Ale jakie one małe!

— Tem lepiej! Gdyby były duże, mógłby pan radca zepsuć sobie żołądek, a na tym punkcie, jak zauważyłem. jest pan bardzo czuły...

— Naturalnie! Wszak to najważniejszy organ naszego ciała, regulator wszelkich funkcyi życiowych. humoru i tak dalej. U mnie, panie łaskawy, w całym domu panuje zasada: zjeść dużo, a dobrze! Piersi z kurczątka. comberek z zająca...

— Jada radca zające? Nie radziłbym... Onegdaj jestem w pewnej jadłodajni i czytam na karcie: comber zajęczy — dwie korony. Wołam gospodarza i tłumaczę mu, że to chyba za drogo. Ale on mnie przekonał...

— W jaki sposób?

— Powiada, że bezpośrednio przed śmiercią udusił mu ulubionego kanarka, za którego dał przed rokiem szesnaście guldenów. Wobec tego rozparcypował tę kwotę na wszystkie porcye, by wyjść na swoje...

— Być może! Ale ja zająca jem tylko w domu. w restauracyi zaś, jeśli mi się to kiedy zdarzy. muszą mi równocześnie przedstawić wszystkie koty. czy są jeszcze przy życiu! A prowadzę ich najdokładniejszą ewidencyę w tych lokalach, które stale odwiedzam. A cóż tam „*de publicis?*“

— Cóżby? Ogromnie spodobało mi się rozporządzenie magistratu, by się wymijać na lewo. Wolałbym nawet, aby w jedną stronę szło się prawym chodnikiem, w drugą lewym.

— A to ze względu?...

— Ze względu na publiczne bezpieczeństwo! Bo, proszę sobie wyobrazić, ja idę jednym chodnikiem, mój wierzyciel drugim. Bystre jego oko dojrzało mnie, chce więc przypomnieć się mej łaskawej pamięci i przejść na drugą stronę. Ale w tej chwili wkracza władza bezpieczeństwa, łap go za kołnierz i prowadzi tam, skąd wyszedł. mówiąc: „Przepraszam! W tę stronę można iść tylko lewym trotoarem!...“ A ja tymczasem jestem już daleko!...

Tego rodzaju dyskusya zabrała mi sporo czasu, wydałem też część owego nadzwyczajnego kredytu, przyznanego mi łaskawie na zakupno piór i papieru. Czeka mnie za to piekło w domu. Skoro zaś mam cierpieć, niechaj wiem za co, wydałem więc i resztę pieniędzy, ale przytem poruszyłem tyle kwestyi pierwszorzędnego dla nas znaczenia, iż mam już zebrany materyał do kilku kronik wielkopostnych.

O przyjęciu, jakie mi w domu urządziła magnifika, nie opowiadam, nie wypada bowiem wtajemniczać ogół w szczegóły życia rodzinnego, jeśli jednak kto ciekawy, a żonaty, niech zrobi tak samo, a dowie się dokładnie. To tylko bieda, że nasze panie mają różny temperament. Moja na przykład jest choleryczką i dziś widzę, że zły zrobiłem wybór, dla mnie bowiem odpowiedniejszą byłaby niewiasta więcej spokojna, niechby nawet i flegmatyczka... Niestety, to się już nie odstanie! Zresztą dałem sobie słowo, iż, gdyby nawet była i sposobność, drugi raz się już nie ożenię, czego i Szanownym Czytelnikom rodzaju męskiego życzę z całego serca!

I ktoby to był myślał, że wypowiem coś w tak nieszczęśliwą chwilę!

Na początku kroniki wspominałem, że lada dzień podrożeje i piwo, ale nie sądziłem nawet, iż to tak prędko się stanie. Dniem tym, według mnie zaliczanym do krytycznych pierwszego rzędu, był dwudziesty drugi lutego, więc drugiego w roku miesiąca. Panowie piwodawcy kazali nam płacić o dwa centy więcej na szklance, zaprowadzając równouprawnienie między niemi. Wszystko jedno duża, czy mała!

Ponieważ jest to także następstwem wojny, wobec tego wystosowałem odręczne pismo do nowego ministra spraw zagranicznych, barona Buriana, z którym zdawna żyję w najlepszych stosunkach i nieraz światłych a zdrowych rad mu nie szczędziłem, z zagrożeniem, iż, jeśli tak dalej pójdzie, ja umywam ręce od wszystkiego i nigdy już głosu w kwestyach politycznych nie zabiorę.

A ciekawy jestem, jak wówczas będzie wyglądał! Czytuje co tydzień *Nowości*, rozwiązuje nawet w nich zagadki, kroniki zaś, jak słyszałem tak on, jak i wszyscy urzędnicy ministerstwa spraw zagranicznych uczą się na pamięć.

Ale, jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie! Cierpię ja przez wojnę, nie mogąc ugasić pragnienia, cierpcie i wy...

Zagadki do nagrody.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Sz. Kiliński, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:

Żyd, korek i doły. Młotem kwitnie żone, o, o, o.

Logogryf.
Ułożył W. M.

Początkowe zgłoski odgadniętych należycie wyrazów, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko i imię znanej polskiej powieściopisarki, końcowe zaś imię i nazwisko naszej poetki ludowej.

□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej „ustrój" 2. Epopeja indyjska 3. Kolonia niemiecka w Afryce. 4. Bogini zemsty. 5. Prowincya francuska. 6. Rodzaj owocu. 7. Starożytne miasto w Afryce. 8 Narodowość azyatycka 9. Miejsce, pamiętne klęską Napoleona. 10 Swiatłodruk 11. Kochanek Seleny. 12. Polski powieściopisarz. 13. Inaczej „odosobniając". 14. Duchowny 15. Utwór Sofoklesa.

Szarada.
Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa

Kochana Mamo!

Opiszę Ci moje wczorajsze przygody. Wyjechaliśmy długim szeregiem *pierwszych-trzecich* na przejażdżkę, gdyż *pierwszych-drugich*, jak wiesz, u nas nie brakuje Nie zważaliśmy jednak, że słońce już *pierwsze-czwarte*, i że na świecie tak już ciemno, iż nic nie widać na kilka kroków. Z tego powodu wjechaliśmy na pole, gdzie rosła *całość*, która od naszych *pierwszych-drugich* ogromnie ucierpiała. Na drugi dzień przeprosiliśmy właściciela i wynagrodzili mu wyrządzoną szkodę.

Całuję wszystkich serdecznie
kochająca córka
Druga-czwarta.

Figielek.
Ułożył „Żelazny akademik", Nowy Sącz.

W poniżej umieszczonych zdaniach nic nie zmienić, a wyczytać coś zupełnie innego.

1) Żyd karabin niesie.

2) Na balkonie chodzą

Zadanie królewskie.
Ułożył Sz. Kiliński, Nowy Jiczyn.

pa	czy	ki	ską	słoń	ży	zny	mi
sze	roz	krzy	Pol	ce	nad	nie	pola
szliw	stra	nad	sze	po	pły	nie	roz
dzień	co	rzej	to	ran	ne	ło	bo
lą	pa	łu	noc	co	me	sa	gi
ki	dzi	się	ny	lą	pu t	ki	py
rzyn	szlak	swój	zna	cza	fa	tru	po
ta	Ta	na	krwi	pol	skiej	żo	gi
ci	dy	nie	kra	Pia	wio	w	go
prze	le	kę	i	stów	nej	sła	bło

Zagadki.
Ułożył Sokrates, Nowy Sącz.

1) Trzy litery w jednym rzędzie,
A z nich radość będzie.

2) W samogłosce wspak lew siedzi,
Kto chce zgadnąć, niech się biedzi.

3) Z samogłoski naprzód kroczym,
A czy nazwę miasta zoczym?

Logogryf.
Ułożył Sz. Kiliński, Kraków.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Srodkowy rząd, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko polskiego bohatera.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2 Bardzo pospolity minerał. 3. Inaczej pięść 4 Przyrząd, niezbędny dla rysownika. 5 Kraj koronny austryacki 6. Naczynie kuchenne. 7. Rzemieślnik 8. Europejskie mocarstwo 9. Rzeka w Rosyi (dopływ Wołgi). 10. Samogłoska

Łamigłówka.
Ułożył J. Tabor, Bochnia.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą okoliczność, która każdego z nas przejmuje wielką radością.

E – s
k — ń
o – a
o — o
w — l
e – i
r – k
a — o
n — l
n — s
e — a
b – k
a - h
k – t
s – k
a — a
b ł.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Stan. Przybyszewskiego:* **Mocny człowiek.** Powieść.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 7.

Trójkąt magiczny:
H J o r d a n
J e s i e ń
O b o r a
R y g a
D ą b
A r
N

Zadanie do przestawienia: Komu w drogę, temu czas.

Szarada: Batory.

Okienko:
P i l o t
i a r
l a n r a
o r w
t r a w a

Zadanie do uzupełnienia: 1. Młodość płochość 2. Co rok, to prorok.

Łamigłówka:
Kora
Oran
Newa
Igła
Ezaw
Cisa
Kasa
Aron
Ryga
Nora
Azow
Wola
Azya
Łuna
Ugor.

Zadanie do przestawienia: Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

Trójkąt magiczny:
S z a n i a w s k i
Z a k o n n i c a
A n a l o g i a
N i k o d e m
I g n a c y
A t ł a s
W i n o
S a n
K u
I

Zadanie do przestawienia: Łaska pańska na pstrym koniu jeździ

Bilety wizytowe: Marszałek Wierszokleta. Kominiarz Architekt Kapelmistrz.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Jasło, J. Broda Kraków. M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów. A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki. J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górna Krakow, J. Ciszewski Jasło, W. Błoński Kraków, S. Sygnarska Praga, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Krakow. W. Krzywicki Praga K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń. H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, S. Rogalski Cieszyn, J. Wilkosz Praga, I. Brzostowski Chrzanów

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **S. Sygnarska, Prag .** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Polskie Archiwum Wojenne. W ostatnim czasie zawiązał się we Wiedniu Komitet celem gromadzenia wszelkich materyałów w drukach, rękopisach i muzealiach, dotyczących sprawy udziału Polski w wojnie światowej. Dobro nauki, chęć przysporzenia narodowi wskazań na przyszłość i wzbogacenia kultury naszej — oto dewiza Komitetu, tworzącego dzisiaj Polskie Archiwum Wojenne.

Aby dokonać centralizacyi podjętych już tu i ówdzie usiłowań, oraz objąć całokształt ojawów naszego życia podczas wojny w ojczyźnie i na wychodźtwie, Komitet podzielił się na sekcye, z których każda prowadzić będzie pracę w pewnym specyalnym zakresie. Sekcye są następujące: polityczno-wojskowa, ekonomiczno-kulturalna, prasowo-literacka, oświatowa, pamiętnikarsko-wywiadowcza i muzealna.

Charakter instytucyi jest ściśle archiwalno-naukowy.

Siedzibą Komitetu jest Wiedeń, jako centrum emigracyi i tymczasowe ognisko naszego życia narodowego. Poza Wiedniem tworzone będą delegatury, względnie komitety lokalne. W dniach najbliższych ukaże się odezwa wzywająca, całe społeczeństwo do poparcia akcyi, podjętej z myślą o przyszłości.

Przewodniczącym Zarządu Komitetu jest dr. Władysław Semkowicz, zastępca przew. Stefan Vrtel, sekretarzem dr. Jan Bystroń, zastępcą sekretarza St. Mękarski.

Porady w sprawie pewnego pośrednictwa w przesyłaniu listów via Rumunia do Galicyi wschodniej, Rosyi, Francyi, Anglii i innych państw i krajów (za opłatą listu zwykłego kor. 1·18, rekomendowanego kor. 1·50, zaś z opłatą z góry odpowiedzi listem zwykłym kor. 1·46, a rekomendowanym kor. 2·05) zasięgnąć można w Biurze Macierzy Szkolnej, Cieszyn, dom Narodowy II. piętro. drzwi nr. 31, Śląsk Austryacki, przyczem na odpowiedź załączyć należy tylko za 3 halerze znaczek pocztowy, przyklejony 4 rogami do listu lub kartki korespondencyjnej.

LALKI

Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie poleca w wielkim wyborze C. SZCZURKOWSKI W KRAKOWIE ul. Grodzka 2

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia“ Jana Wolnego

Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny) Telefon Nr. 331.

HUMORYSTYCZNY

KALENDARZ „BOCIANA“

na rok 1915

już wyszedł i jest do nabycia we wszystkich trafikach i księgarniach.

Nabywać go też można wprost w Administracyi „Bociana“, Kraków XV. Przesyłki uskutecznia się odwrotnie **za nadesłaniem należytości z góry, za egzemplarz 1 kor. — (50 kop.), na porto 10 hal., lub 35 hal. na porto rekomendowane.** Za przesyłki nie rekomendowane Administracya nie odpowiada.

KREW

5 kilo czerwonych pomarańczy kor. 3·60
5 kilo karafiołów koron 3·20
opłacone za pobraniem pocztowym **Giov. Spanghero, Tryest.**

KINO-WANDA

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

Muzyka wojskowa w każdą niedzielę.

WYROBY KRAJOWE

Rok założ. 1880. **D. Béze** Rok założ. 1880.

Zakopane, Krupówki.

WIELKI WYBOR PERFUM.

Pamiątki patryotyczne. Wielki wybór biżuteryi francuskiej i fantazyjnej **MOZAIKI.** Prawdziwe granaty.	Wyroby rzeźbione Zakopiańskie. Wyroby **skórzane.** Wielki wybór **torebek** damskich.	Wielki wybór **ZABAWEK. Lalki** Krakowianki. **Laski i toporki.** Kartki korespondencyjne illustrowane.

Nerwowo chorzy mężczyźni

(Neurastenicy)



niech żądają broszury **o natychmiastowym** usunięciu tego zła po nadesłaniu 40 h w markach pocztow. Adres: **„Nowa Mechanika 232“** Fach pocztowy 40, Budapeszt, Główna poczta

---

Mapa polskiego terenu wojny.

Cena kor. 1·50, na płótnie kor. 3·—. Z przesyłką o 10 hal. więcej. Należytość należy przesłać z góry.

Do nabycia w Księgarni **Friedleina, Kraków,** Rynek 17.

Rok założenia **1900**

Po drodze do Zakopanego

lub wracając, najlepiej zaopatrzeć się można w wszelkie **ubiory męskie** doborowej jakości, **gotowe lub na miarę**

W ZWIĄZKU KATOL. KRAWCÓW

W KRAKOWIE, Floryańska 7. WE LWOWIE, Plac Halicki 7.

DRUKARNIA

D. E. FRIEDLEINA W KRAKOWIE

ULICA KAZIMIERZA WIELKIEGO 95 — TELEFON 479

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, zaproszenia ślubne, tabele itp. szybko, starannie, po cenach umiarkowanych.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego